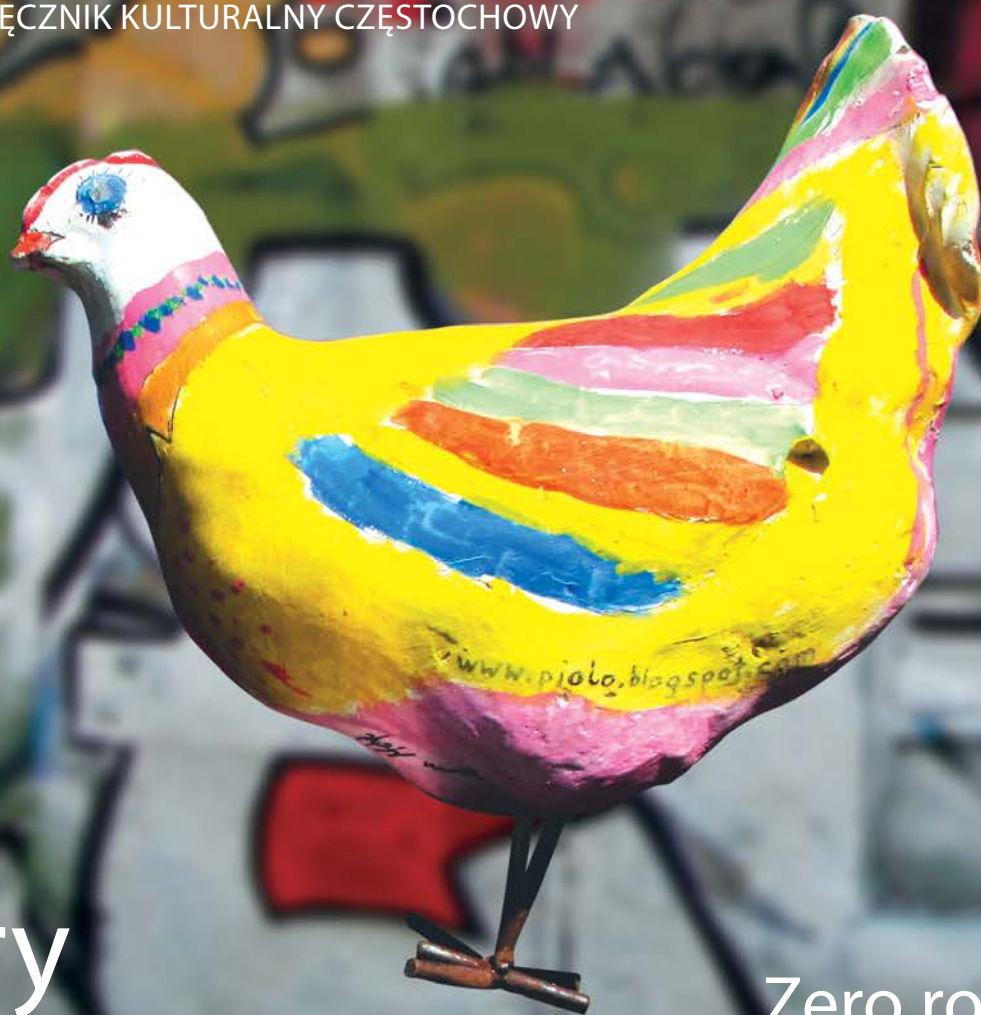


CENA: 3 ZŁ

NR 81 WRZESIEŃ/PAŹDZIERNIK 2010

ALEJE 3

DWUMIESIĘCZNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY



Kury
w mieście

- str. 17

Zero rozmawia
z Ryszardem Mamisem

- str. 14

Janusz Yanina Iwański
o zespole *The Goodboys*

- str. 24

ISSN 1427-8812



Ryszard Mamis
„Dziwna pracownia 1”
olej, płótno

Ryszard Mamis

Urodził się w Opolu w 1959r. Studiował na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Studia na Wydziale Grafiki Warsztatowej ukończył z medalem w 1986 roku. Pracował w Państwowym Liceum Plastycznym w Częstochowie jako nauczyciel rysunku i malarstwa oraz literatury i ceramiki artystycznej. Pełnił również obowiązki dyrektora ds. artystycznych. Uprawia malarstwo sztalugowe, akwarele, grafikę i rysunek. Brał udział w wielu wystawach w kraju i za granicą, zwłaszcza w Niemczech. Do 1995 r. mieszkał w Częstochowie, obecnie żyje i tworzy w Przyrowie.

Wywiad z Ryszardem Mamisem

» STR. 14

SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI	03
ALEJAMI NA SKRÓTY	04
WIĘCEJ NIŻ ZERO	06
TEATRY OGRÓDKOWE	08
FERDYDURKE	11
RYSZARD MAMIS	14
KURY W MIEŚCIE	17
WARSZTATY W TFP	22
YANINA I THE GOODBOYS	24
GRZEGORZEWSKA	30
ZŁODZIEJE NA VENUS	32
MIELCZAREK	35
MIEJSCA, LUDZIE, WYDARZENIA	40

ALEJE3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

Pismo finansowane Przez Urząd Miasta Częstochowy

Wydawca:

Biblioteka Publiczna
im. dr. Wł. Biegańskiego w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 34 360-56-28
www.biblioteka.czest.pl

Redakcja:

Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 34 360-56-28
aleje3@op.pl

Redaktor Naczelny:

Agnieszka Batorek
Tel. 691 567 962
abatorek@interia.pl

Opracowanie graficzne:

Tomasz Korzeniowski

Współpraca:

Julia Liszewska, Dominika Radkowska, Wioletta Grzegorzewska, Irmina Młynarczyk, Marian Panek, Adam Florczyk, Mateusz Szkop, Janusz Mielczarek, Rafał Salamucha, ZERO.

Zdjęcia:

Piotr Dłubak, Piotr Kras, Robert Czyż

Ilustracje:

Grzegorz „Gino” Nita, Arkadiusz Zając

Skład i łamanie:

Krzysztof Klaus

Druk i oprawa:

Sowa – druk na życzenie
www.sowadruk.pl
tel. 22 431-81-40

Nakład 400 egz.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do skrótów, adiacji, redagowania nadsyłanych tekstów.

Okładka:

Kura Bura (nr 18) fot. Piotr Kras, www.piotrkras.pl

Od redakcji:

Czy z kury na okładce należy się wytłumaczyć? Czy to wypada, żeby okładkę poważnego czasopisma o kulturze zdobiła gipsowa kura z kolorowym graffiti w tle? Tak, bo kury to ważne figury. W połowie wakacji zaczęły się pojawiać znienacka w strategicznych punktach miasta, potem rezydowały całym stadem pod samym ratuszem, wreszcie otworzyła dla nich podwoje Miejska Galeria Sztuki. Zmobilizowały do działania częstochowian w różnym wieku i różnych profesjach i to oni w całym przedsięwzięciu odegrali największą rolę.

Magia gipsowej kury opanowała miasto na ponad dwa miesiące. Urzekła nas bezpretensjonalnością akcji, a zarazem intensywności zaangażowania w nią mieszkańców Częstochowy. Okazuje się, że nie potrzeba oszalałymi akcją promocyjną, bannerów, plakatów, ulotek, ogłoszeń w prasie, by zachęcić ludzi do uczestnictwa w projekcie. Wystarczy dobry pomysł i szczypta entuzjazmu. Entuzjazmu, który jest zaraźliwy. Szymon Motyl produkując swoje gipsowe kurki nie oczekiwał spektakularnych efektów. Umieszczał obiekty w przypadkowych miejscach i pozwalał im działać: zaskakiwać, intrygować, pobudzać wyobraźnię. Przez dłuższy czas jedyną platformą kontaktową artysty z odbiorcą była strona internetowa [www.kurawakcji.pl] – pod warunkiem, że ów odbiorca raczył podążyć za wskazówką znajdującą się na kurce.

Panuje powszechne przekonanie, że częstochowianie w życiu kulturalnym miasta udział biorą niechętnie. Tymczasem tłumnie uczestniczyli w działaniu artystycznym, które od pierwszej chwili wymagało interakcji. Kurę należało zabrać do domu, taszcząc ją pod pachą, a figury były nieelastyczne i nieliczne rozmiarów, więc przyciągały ciekawskie spojrzenia przechodniów. To jednak dopiero początek „wyglupów”. W naprawdę niespodziewanych lokalizacjach kury pojawiały się już z nowymi właścicielami. Malowane, przebierane, nabierały cech indywidualnych i łądowały na dachach starych fabryk, kominach domów, na przednich siedzeniach samochodów (oczywiście przypięte pasami bezpieczeństwa), na ślubnych sesjach zdjęciowych, na imprezach w nocnych klubach i na lotniskach. Wszędzie tam częstochowianie taszczyli ze sobą kolorowe gipsowe kury, którym nadali imiona i sumiennie dokumentowali ich nowe życie. Osobom postronnym nie działania mogły się wydawać absurdalne, ale dla tych kilkuset osób, które akcja przyciągnęła, była to możliwość wykazania się indywidualizmem i kreatywnością.

Częstochowianie chcą i potrafią aktywnie uczestniczyć w życiu kulturalnym miasta. Problem w tym, że nie zawsze czują się adresatami działań artystycznych. Często niepotrzebne nadęcie, fanfaronada, odstrasza potencjalnego odbiorcę. Zakłada się, że pewne formy sztuki wymagają określonych kompetencji w odbiorze, że nie są dla wszystkich. Podczas kurzego wernisażu Miejska Galeria Sztuki tętniła życiem. Na ponad dwie godziny wypełnił ją radosny gwar, gdakanie i nieskrępowany śmiech biegających wszędzie dzieciaków. Szymon Motyl pokazał, że zwykła kura może stać się dziełem sztuki, przypadkowy przechodzień - artystą i że w poważnej galerii czuć się można dobrze, swobodnie i u siebie.

Redaktor Naczelna
Agnieszka Batorek

(dumna właścicielka Alicji, kury nr 37)

Tu można pytać o „Aleje3”: Café Belg (Al. NMP32), Café Montmartre (Al. NMP 33), Księgarnia „Tania Książka” (ul. Focha 27/29), Klub Zero (Al. Niepodległości 11), Biblioteka Publiczna (Al. NMP22).

ALEJAMI NA SKRÓTY



Janusz Mielczarek nagrodzony

Znany dobrze z łamów naszego dwumiesięcznika Janusz Mielczarek, został w ostatnich dniach nagrodzony aż dwukrotnie: jako fotograf i jako literat. Podczas obchodów 15-lecia Fotoklubu Rzeczypospolitej Polskiej Minister Kultury wyróżnił częstochowianina brązowym medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Zupełnie niezależnie od tego faktu, choć niemalże w tym samym czasie, został on także laureatem III nagrody w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Grochowiaka za opowiadanie zatytułowane „Hrabalowisko”. W bieżącym numerze „Alej” znaleźć można zarówno prozę Pana Janusza, jak i ciekawe wspomnienia dotyczące jego kariery fotograficznej. **AB**

„Inne obroty” za oceanem

Ukazał się czwarty tomik poezji Wioletty Grzegorzewskiej, poetki przez lata związanej z Częstochową, a obecnie mieszkającej w Anglii, laureatki wielu konkursów poetyckich, autorki publikowanego obecnie w „Alejach” dziennika „Zapiski z wyspy”. Tomik zatytułowany „Inne obroty” wydało w Polsce Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza” z Rzeszowa, natomiast dzięki Polskiemu Funduszowi Wydawniczemu z Toronto tomik ukazał się również w Kanadzie. Oprócz niezwykle dojrzałej, bogatej i zmysłowej poezji podzielonej na dwie części: „Czas mew” i „W międzyczasie”, w tomiku znajdziemy również znakomite ilustracje Poli Dwurnik z cyklu „Unnatural Death”. **AB**

Festiwal Buddyjski

Głównym organizatorem Festiwalu planowanego na dni 5-13 listopada jest Częstochowski Ośrodek Medytacyjny Buddyjskiego Związku Diamentowej Drogi Linii Karma Kagyu. Ośrodek istniejący w naszym mieście już od 1987 roku początkowo mieścił się... w prywatnym mieszkaniu Antoniego „Ziuta” Gralaka, znanego muzyka, kompozytora i producenta muzycznego. W roku 2003 przeniósł się do nowej siedziby, przestronnego budynku z ogrodem. W planach festiwalowych są wykłady buddyjskich nauczycieli, dni otwarte Ośrodka Buddyjskiego, wystawa sztuki buddyjskiej oraz pokazy filmów. **AB**

6. Międzynarodowe Biennale Międzykultury

Prezentacja została zorganizowana przez Galerię OPK Gaude Mater. Do jury konkursu zaproszono: prof. Rafała Strenta, prof. Zuzannę Gaziową ze Słowacji, prof. Dorotheę Fleiss z Niemiec oraz prof. Leszka Misiaika i fotografa Jerzego Piątka. Przygotowano dobrze zaprojektowany i wydany katalog, którego autorami byli kurator Galerii, Robert Sękiewicz i komisarz wystawy, Bartosz Frączek. Komisja konkursowa zakwalifikowała na wystawę 202 prace 110 autorów i postanowiła przyznać 4 nagrody regulaminowe oraz 3 wyróżnienia honorowe. Grand Prix konkursu otrzymał Jarosław Grulkowski, I nagrodę - Grażyna Kulikowska-Antczak, II nagrodę - Jose Apeza (Meksyk), III nagrodę - Agnieszka Półtola-Koćwin. Wyróżnienia honorowe przyznano: Arkadiuszowi Gephardowi, Natalii Romanik i Małgorzacie Strzelec. Wernisaż wystawy odbył się 30 sierpnia. Poziom tegorocznego Biennale był bardzo wysoki. Ekspozycja zawęduje do kilku innych galerii, m.in. do Muzeum Stanisława Staszica w Pile, Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbro-

wie Górnicy, BWA Galerii Miejskiej w Tarnowie, Nowohuckiego Centrum Kultury w Krakowie, BWA w Kaliszu, Galerii „Spokojna” w Warszawie i do Liptowskiego Mikulaszu na Słowacji.

Marian Panek

Fama po częstochowsku

Podczas tegorocznego finału FAMY w Świnoujściu częstochowianie triumfowali aż dwukrotnie. Nagrodę Trytona dla największej osobowości artystycznej festiwalu, ufundowaną przez Urząd Miasta w Świnoujściu, otrzymał duet Krzyż:Kross specjalizujący się w niekonwencjonalnym elektronicznym brzmieniu uzyskiwanym dzięki zastosowaniu komputerów typu Commodore64. Natomiast Wojciech Kowalski i Jarosław Filipowski z Teatru from Poland zostali laureatami Nagrody im. Maxa Szoca przyznawanej za niesza-blonową oraz kreatywną postawę artystyczną. Podczas warsztatów teatralnych prowadzonych w ramach festiwalu zorganizowali oni trzy happeningi: „Akcja miłosna”, „Uwaga, wieczór poezji” i „Żywe pomniki”. **AB**

Rugby w Oslo

W niedzielę 26 września w pubie Oslo można było obejrzeć znakomity slajdshow młodego, bo zaledwie 19-letniego, ale niezwykle utalentowanego, częstochowskiego fotografa, Jarosława Respondka. Autor zdjęć pracował nad prezentowanym materiałem przez cały rok towarzysząc zawodnikom z Rugby Clubu Częstochowa podczas treningów, meczów, a nawet w codziennych zajęciach. Oprócz fotografii zaprezentował również zapis dźwiękowy swojej wielkiej przygody. Zarejestrował opowieści zawodników o ich pasji i tym jak łączą ją z codziennym życiem, „podsluchiwał” ich także we

wszystkich sytuacjach, które fotografował. W efekcie powstał fascynujący reportaż, łączący niemal perfekcyjnie obraz z dźwiękiem. Nic dziwnego, że tłumnie zgromadzona publiczność była pod ogromnym wrażeniem, a gratulacjom nie było końca. **AB**

Wieczór fotografii Piotra Dłubaka

W Konduktorowni 3 września świętowano dwudziestolecie pracy twórczej Piotra Dłubaka. Z tej okazji otwarto jego dwie wystawy retrospektywne. „The last show” to czarno-białe portrety, w których autor charakteryzuje znane postacie ze świata kultury, sportu czy biznesu oraz fotografie będące zainscenizowanymi wizjami z sylwetką ludzką w roli głównej.

Od dwudziestu lat Piotr Dłubak dokumentuje też wydarzenia sceny teatralnej. Zarejestrował przez obiektyw ponad sto spektakli wystawianych w Częstochowie i poza nią. Wystawa „100” była zbiorem zdjęć wykonywanych na próbach generalnych i zapisem towarzyszących im emocji. Wśród prac autora zobaczyliśmy również plakaty teatralne.

Piotr Dłubak jest od lat związany z Częstochową i Teatrem im. A. Mickiewicza, portretuje ludzi sztuki i kultury, tworzy cykle fotografii kobiet. Współpracuje z „Alejami 3”. Jest członkiem ZPAF, prezentował ponad dwadzieścia wystaw indywidualnych w Polsce i Danii, brał udział w wystawach zbiorowych w USA, Bułgarii i Niemczech. Kilku wystawom towarzyszyły publikacje albumów fotograficznych i kalendarzy, m.in. album „Aura” 2003, album „Ojcowie i Córki” 2005, „Kalendarz Siatkarek” 2007, album „Ojcowizna” 2007.

Wieczór poprowadziła Ewa Dłubak Westergaard Hansen, solistka Storstroms Kammerensemble, a prywatnie siostra autora, opowiadając o jego drodze artystycznej i dzieląc się z gośćmi rodzinnymi anegdotami. Widzowie zostali zaproszeni do obejrzenia spektaklu Teatru im. A. Mickiewicza w Częstochowie – „Wariacje Bernhardowskie” Przemysława Fiugajskiego w reżyserii Gabriela Gietzky'ego, w którym wystąpili: Iwona Choluż, Adam Hutyra

i Robert Rutkowski. Wcześniej krótką impresję na flet poprzeczny zaprezentowała Paula Kwietniewska.

Częstochowianie mieli okazję gościć nie tylko na wernisażu wystawy, ale także na jej finażu – 29 września. Dla Piotra Dłubaka i oglądających prace ostatniego dnia wystawy zagrali: Lidka Pospieszalska, Marcin Pospieszalski, Tomas Celis Sanchez i Janusz Yanina Iwański. Przy tej okazji Marcin Pospieszalski zaprosił chętnych do grania i słuchania w kolejnej środy w ramach cyklu „Akustyczna przestrzeń w Konduktorowni”. [Rozmowa z Piotrem Dłubakiem – patrz nr 79/80 2010] **DR**

8. Dni Książki. Kresy. Pogranicza.

W dniach 16-20 września już po raz ósmy mieliśmy okazję uczestniczyć w częstochowskich Dniach Książki. W Bibliotece Publicznej odbyły się spotkania z pisarzami: Hanną Kowalewską i Dariuszem Rekoszem oraz wystawa fotografii Marzeny Mróz Przyłapani na czytaniu. Miejska Galeria Sztuki natomiast przygotowała wystawę ilustracji i malarstwa Piotra Fąfrowicza, spotkania z pisarzami: Barbarą Kosmowską, Grzegorzem Kasdepke, Krzysztofem Koehlerem, Pawłem Zuchniewiczem, Szczepanem Twardochem, Bartłojem Majzlem, Wojciechem Kuczokiem, Katarzyną Gacek i Agnieszką Szczepańską oraz Arkadiuszem Franią i Igiem Stokfiszewskim, jak również stała się miejscem akcji artystycznej Teatru Blee Piotra Nity i projektu muzycznego Sebastiana Banaszczyka. Kawiarnie Cafe 29 i Cafe Art gościły klubowiczów i sympatyków Dyskusyjnych Klubów Książki. Ośrodek Kultury filmowej przygotował projekcje czterech filmów dla dzieci i młodzieży. Wszystkie atrakcje były oczywiście bezpłatne. **Irmina Młynarczyk**



fot. Piotr Kras



Uczestnicy koncertu zespołu Łąki Łan w klubie Zero.

Więcej niż ZERO

Dominika Radkowska

zdjęcia
Piotr Kras

Po kilkumiesięcznej przerwie w działaniach i krótkich przygotowaniach do nowej odsłony Klub Muzyczny ZERO ucieszył bywalców – dotychczasowych i przyszłych – ponownym otwarciem. Nowymi gospodarzami klubu są Krzysztof Niedźwiecki i Daniel Pidzik. W dniu inauguracji działań – 13 sierpnia 2010 – klub przywitał przybyłych koncertem, w którym połączyli siły muzycy związani z Częstochową dziś i kiedyś, ale też tacy, którzy niedawno ją dla siebie odkryli. Wystąpił zespół Wyłączeni w składzie: Krzysztof Niedźwiecki, Robert Czyż, Marcin Pożarlik, Grzegorz Rurański. Grupę można usłyszeć w klubie częściej, jest ona kontynuacją projektów muzycznych Krzysztofa Niedźwieckiego (wcześniejsze powstałe formacje to Ptaszyska, Mastersuty), a jej członkowie stanowią filary środowiska muzycznego klubu. Podczas uroczystego otwarcia z zespołem zagrał Arek Skolik – perkusista, kompozytor, aranżer współpracujący m.in. z Joachimem Menclem, Leszkiem Możdżerem, Tymonem Tymańskim, częstochowianin z urodzenia.

Po wybrzmieniu folk'n'rollowych dźwięków na scenie pojawił się oczekiwany gość specjalny wieczoru – Andrzej Grabowski i oczarował publiczność śpiewając swoim chropawym głosem znane już całej Polsce piosenki z płyty „Jest dobrze”, a także kilka utworów, które znajdują się na jego solowej płycie. Przygotowuje ją właśnie we współpracy z muzykami z naszego miasta – piosenki komponują dla niego Krzysztof Niedźwiecki, Mar-

cin Lamch, Przemysław Pacan. Płyta ukaże się w grudniu 2010 i będzie promowana koncertem w klubie ZERO. Andrzej Grabowski zaprezentował się też w monologu satyrycznym pt: „Wizyta w SPA”.

Tego wieczoru na scenie gościli również Jacek Pałucha – założyciel zespołów Formacja Nieżywych Schabuff oraz Superpałka i Najeżdźcy z Kosmosu i malarz w jednej osobie; Jarosław Woszczyzna – saksofonista grający niegdyś m.in. z Formacją, zespołem Daab, a obecnie kompozytor muzyki teatralnej oraz Radek Wocial z zespołu Bakshish.

Działający od sierpnia klub ma bardzo bogatą ofertę wydarzeń kulturalnych. Kalendarium klubu jest rozpisane na poszczególne dni tygodnia i zaplanowane ze sporym wyprzedzeniem czasowym. Każdy dzień w kalendarium to odmienna propozycja – w poniedziałki przeważnie relaks po weekendzie, czyli tzw. Święty Spokój; we wtorki – prezentacja kina niezależnego, offowego, autorskiego, w środy jam – ZERO - session, czyli Gramy Razem, czwartek to przeważnie

dzień, w którym za konsoletą, bądź gramofonem zasiadają DJ-e – Vinyl Day, a w piątki i soboty dzieją się różne ciekawe rzeczy. Czasem będzie to weekendowy koncert, ale nie tylko, program ustalany jest na bieżąco, w niektóre niedziele będzie można zobaczyć spektakle z archiwum Teatru Telewizji.

W gościnnej przestrzeni klubu ZERO odbyła się również – 28 sierpnia 2010 – promocja ostatniego numeru naszego dwumiesięcznika. Dla „Alej3” zagraли i zaśpiewali zaprzyjaźnieni z klubem i z piśmem muzycy z zespołu Wyłączeni. Swoje teksty prezentował Piotr Macieżyński. W klubie ZERO będzie można pytać o kolejne numery naszego dwumiesięcznika.

Liczną publiczność przyciągnął już do nowootwartego klubu występ Maćka Maleńczuka i Psychodancing, odbył się koncert i nagranie DVD T.Love Alternative, czy znakomity (już trzeci w tym miejscu) koncert zespołu Łąki Łan. To zaledwie początek listy znanych i cennionych postaci polskiej sceny muzycznej, które wkrótce zaprezentują się publiczności dzięki istnieniu

klubu ZERO. W najbliższym czasie wystąpią: Dezerter, Acid Drinkers, Wojciech Karolak, Henryk Miśkiewicz, Arek Skolik, ponownie pojawi się również legendarna walijska grupa Budgie. Niestety koncert Marii Peszek, który miał być hitem tej jesieni, przeniesiono na styczeń.

Klubowej sceny muzycznej o takim potencjale i tak szeroko (i wysoko) zakrojonym repertuarze brakowało w Częstochowie od czasu zamknięcia klubu Utopia. Ale „Zero” to nie tylko klub, do którego można przyjść na dobry koncert, jam session, czy film. To szersze, można powiedzieć, „zjawisko”, pod szyldem którego działa również „Studio Zero”, gdzie powstają filmowe spoty oraz materiały dokumentujące imprezy, a także nagraniowe „Studio 66”, w którym nagrywają muzycy nie tylko z Częstochowy. Zarejestrowano tu kilka utworów, które można znaleźć na płycie „Jest dobrze”, tutaj Andrzej Grabowski nagra swoją autorską płytę „Mam prawo czasem banalnie...”. Trwają również prace nad płytą Lecha Dyblika zawierającą więzienną pieśń.



Maciej Maleńczuk podczas koncertu w klubie Zero.

Prowadzący klub „sypią” pomysłami, zachowując ogromną różnorodność propozycji. To miejsce z pewnością wzbogaci kulturalno-rozrywkową ofertę Częstochowy. Szukajcie więc informacji na temat mających się tu odbywać imprez i przybывajcie, na pewno będziecie ciekawie. Bieżące informacje na temat planowanych imprez można znaleźć na stronie internetowej klubu: [www.klubzero.pl].

Off ogródek Carpe

Adam Florczyk
zdjęcia: Piotr Kras

Próba zaprezentowania częstochowianom teatru niezależnego ma w sobie coś z heroizmu. Jest to tym trudniejsze, że w mieście funkcjonuje tylko jeden profesjonalny teatr, rozdarty między misją edukacyjną i rozrywkową, z trudem znajdujący miejsce na przedstawienia wyłamujące się poza te schematy. Można zdiagnozować tu syndrom „ziemi niczyjej”. Częstochowska publiczność teatralna nie jest przygotowana na specyficzną estetykę teatru offowego, a nieliczni zainteresowani wyglądają go raczej w innych miastach. Zakładają z góry, że tu i tak nic ciekawego się w tej dziedzinie nie dzieje. W takim krajobrazie letni Festiwal Teatrów Ogródkowych zdaje się być prawdziwą donkiszoterią Stowarzyszenia Proartystycznego „Integracja” oraz Teatru From Poland.

Pomysł, by w wakacyjne, niedzielne popołudnia zapraszać do ogródka częstochowskiego lokalu „Carpe Diem” (wcześniej do Teatru From Poland w Zaułku Wieluńskim) teatru niezależne, teoretycznie wydaje się strzałem w dziesiątkę. Lato jest zazwyczaj ubogie w atrakcje kulturowe, więc to doskonała odskocznia od plażowania, grillowania i tym podobnych wakacyjnych rytuałów. Tym bardziej, że Teatr im. Adama Mickiewicza ma w tym okresie przerwę, więc teoretycznie jest do zagospodarowania całkiem spora grupa odbiorców. Repertuar offowy, przedstawienia na świeżym powietrzu – to pomysły na tyle oryginalne w częstochowskich realiach, że powinny gwarantować sukces. Tyle teoretyzowania, bo rzeczywistość okazuje się całkiem odmienna. Festiwal Teatrów Ogródkowych nie stał się pupilkim lokalnych mediów, imprezą modną i kultową, w związku z czym frekwencja zazwyczaj bywała ledwo zadowalająca. Często fotoreporterów było więcej niż publiczności, choć trzeba uczciwie przyznać, że zdarzały się też przedstawienia, podczas których brakowało miejsc.

Kilka tygodni temu zakończyła się piąta edycja festiwalu i nikt już chyba nie ma wątpliwości, że oto znajduje się on w punkcie, w którym waży się jego przyszłość. Symptomy wypalenia można było dostrzec już na samym początku tegorocznej edycji. Na przełomie czerwca i lipca, zamiast dynamicznej akcji promocyjnej, na stacjaczęstochowa.info pojawił się wywiad z jednym z organizatorów, Arturem Bratkiem, który szerzej przyznaje, że coraz bardziej brakuje pieniędzy, ludzi i zapału. A między wierszami można wyczytać wątpliwość: czy to wszystko jeszcze ma sens? I bezsprzecznie takie wątpliwości dało się wyczuć podczas trwania festiwalu. Pogoda jakby wyczuwała pesymistyczną aurę i deszczem zepchnęła prawie wszystkie przedstawienia z ogródka do wnętrza „Carpe Diem”.

Czy odbiło się to wszystko na samym programie festiwalu? W pewnym stopniu tak. Bywały już bogatsze i bardziej różnorodne edycje. Najbardziej jednak zaskoczyła decyzja, by do konkursu dopuścić teatry młodzieżowe. Dwa pierwsze prezentowane w tym roku przedstawienia należą właśnie do tej kategorii. Zarówno **Grupa Teatr Nieduży** („Balladyna” Juliusza Słowackiego według Jeremiego Przybory), jak i **Grupa Pod Wiszącym Kotem** („Szaleństwo we dwoje” Eugene Ionesco), to młodzi ludzie na początku swojej artystycznej drogi. I właściwie to pozytywne, że mieli oni szansę pokazać się przy okazji tego festiwalu. Teatr szkolny, młodzieżowy, żyje w naszym mieście swoim własnym życiem i z tego co wiem ma się całkiem nieźle. Dlatego cieszy fakt, że ktoś zauważa i chce wyeksponować to zjawisko. Ale z drugiej strony zastanawia decyzja, by od razu kazać młodym artystom stawać w szranki z bardziej dojrzałymi autorskimi teatrami. Czy nie wystarczyłyby w przypadku tych grup pokazy pozakonkursowe? Trudno bowiem przykładać taką samą miarę do tego typu teatralnych wprawek jak i do przedstawień zespołów od lat obecnych na teatralnej mapie Polski, w których zazwyczaj udzielają się profesjonalni artyści.

Takie poszerzenie formuły uszczupla też atrakcyjność samego konkursu. Nie da się ukryć, że w tym roku na równych prawach o nagrody walczyły tylko cztery przedstawienia. Warszawscy artyści z grupy **„Prawdopodobieństwo Sztuki”** przypuścili szarżę na tematy trudne i ambitne w **„Belin-**

Diem

Marek Cichucki jako „Belfer”

dzie. Retrospekcji”. Wiarygodnie naszkicowali światek ludzi wykluczonych i nadali mu wymiar metafizyczny, z pewnym przewrotnym elementem mesjańskim. Postawili przed sobą zadanie karkołomne i, szczególnie na poziomie konstrukcji tekstu, widoczne były liczne niedoskonałości. Obronili się jednak warsztatem aktorskim i w tej kategorii to była zdecydowanie najciekawsza propozycja festiwalu. Rękawicę przez nich rzuconą podniósł Marek Cichucki, reprezentujący łódzki **Akademicki Ośrodek Inicjatyw Artystycznych**. Aktor doświadczony i uznany. Jego monodram **„Belfer”** to autorski pomysł na zmierzenie się z dramatem Jean Pierre Dopagne. Balansując gdzieś na styku farsy, dramatu i moralitetu, opowiada o poczuciu misji nauczania i współczesnym świecie. To drugie w tym zestawieniu przedstawienie mocne rzemiosłem aktorskim, które zawo-

dzi fabularnie. Niepotrzebnie zagaduje problemy, w których milczenie bywa bardziej znaczące. Doceń to co niewypowiedziane doskonale potrafi za to **Teatr Edwarda Gramonta „TERMINUS A QUO”**, który w przedstawieniu **„Spokojnie”** na motywach „Nagiego Lunchu” Burroughsa, oszczędnie gospodaruje słowem. W zamian za to spektakl pulsuje rytmem i hipnotyzuje scenicznym ruchem. Fabularnie rozegrany jest na konflikcie wewnątrz/na zewnątrz, a potem na zerwaniu tej granicy i błyskawicznym pograżeniu się w chaosie. Całość oparta na prostych, intuicyjnych symbolach, oszczędnej scenografii i poszatkowanym tekście - bardzo autentycznie komponuje się na scenie. I wreszcie **Teatr Kreatury**, który wprowadził sporo zamieszenia w festiwalowym programie. Najpierw w wyniku wypadku nie dojechał we właściwym terminie, a gdy już dotarł przywiózł

zupełnie inne przedstawienie. Zamiast „Witka” według tekstów Gombrowicza zaprezentował **„Miejski Kraul”** na podstawie prozy Sławka Shutego. Spektakl zabawny, pełen soczystych obserwacji społecznych, i bezlitosnej krytyki kulturowych norm – a jednak pozostawiający z poczuciem sporego niedosytu. Bo choć obiecywał wyprawę w głąb, to ślizgał się tylko po naszkórku rzeczywistości. Artyści do końca pozostali na terenie oswojonym, dobrze znanym i takim, który może się podobać. Zatem podobało się, ale nic więcej.

Tegoroczne jury, w składzie: Julia Liszewska (dziennikarka, stacjaczęstochowa.info), Janusz Pawlikowski (dziennikarz „Życie Częstochowskiego”) oraz Michał Kula (aktor Teatru im. Adama Mickiewicza), miało trudne zadanie. Jego werdykt, przyznający dwie równorzędne nagrody główne dla „Spokojnie” i „Belfra”, obojętnie odczytują jak



dwa wyróżnienia i brak pierwszego miejsca. Nie wiem na ile jest to zbieżne z intencjami gremium oceniającego, ale z pewnością w znacznej części pokrywa się z opiniami krążącymi w kuluarach festiwalu. Jakoś trzeba było wybrnąć z sytuacji tak zawężonego grona konkursowiczów, a ich poziom nie zachwycał jakoś szczególnie.

Jak już wspominałem V edycja Festiwalu Teatrów Ogródkowych wydaje się być przełomowa. Gdyby to był hollywoodzki film, to impreza właśnie by się rozrastała. Z dobrą marką i zasłużoną popularnością wreszcie znikłyby problemy ze sponsorami. Trwałyby prace nad poszerzeniem formuły, zwiększeniem liczby uczestników i zaproszeniem gości z zagranicy. Mały, lokalny festiwal wyrastałby na ważną ogólnokrajową imprezę kultury niezależnej. Niestety częstochowska rzeczywistość jest diametralnie inna i zamiast tego pojawia się fundamentalna kwestia: co zrobić, żeby ten Festiwal przetrwał.

Optymizmem napawa fakt, że nikt nie ucieka od problemów. Organizatorzy szczerze przyznają, że Festiwal doszedł do ściany i potrzebuje odświeżenia formuły. Słychać nawet o konkretnych planach na przyszłość. A przecież i ten rok nie był zmarnowany. Zaproszenie do jury cenionego częstochowskiego aktora, prezentacja teatru młodzieżowego, konkurs fotograficzny na najlepsze zdjęcie festiwalu. To wszystko pomysły, które mogą zaowocować w kolejnych latach.

Mam nadzieję, że uda się znów rozpalić entuzjazm, który towarzyszył tworzeniu tego festiwalu. Że w tym trudnym momencie znajdzie się

grupa ludzi, która wesprze organizatorów, albo przynajmniej da im odczuć, że robią kawał bardzo potrzebnej roboty. Chwilowy spadek formy pchnie całą inicjatywę kilka szczebli wyżej. W końcu nawet w kryzysie był to jeden z najciekawszych punktów wakacji w kulturalnym kalendarzu miasta. I mimo wszystko warto było uwzględnić jego harmonogram w urlopowych planach. Świadczy to o ogromnym potencjale, którego po prostu nie wolno zaprzepaścić. Dlatego jestem głęboko przekonany, że Festiwal Teatrów Ogródkowych rozwinie jeszcze skrzydła.

OD READKJI: Autorem nagrodzonego najlepszego zdjęcia tegorocznego Festiwalu jest Piotr Kras, współpracownik „Alej3”. Serdecznie koledze gratulujemy.

Teatr Edwarda Gramonta
TERMINUS A QUO, „Spokojnie”



Jak wejść w Gombrowicza,

czyli „Thirty - Door - Key”* to „Ferdydurke”.

Julia Liszewska

Witold Gombrowicz jest autorem uznawanym przez twórców teatralnych i filmowych za „trudnego”, co znaczy, że jego powieści z trudem adaptują się na scenę czy do kina. Podobnie w XIX wieku postrzegano twórczość Słowackiego, ówczesnym inscenizatorom trudności sprawiała choćby „Lilla Weneda”, czy „Balladyna” (chodziło głównie o sceny fantastyczne). U Gombrowicza problem może stanowić połączenie rzeczywistości z fikcją, zestawienie marzeń z realnością, a przede wszystkim - wszechobecny absurd, który autor nierozzerwalnie wiąże z życiem. Kolejnym problemem jest, jak pisze Jerzy Jarzębski** w „Podglądaniu Gombrowicza”: „wplecenie komentarza w materiał zdarzeń i dialogu, uczynienie eksplikacji jak gdyby nieodłączną częścią obrazu (...)”. Bo narracja, wtręty odautorskie, ukazujące przemyślenia Gombrowicza na temat sztuki, literatury, czy wreszcie stosunków międzyludzkich, są w jego powieściach kluczem do rozgryzienia faktów i zdarzeń.

Każdy reżyser, czy to teatralny, czy filmowy, musi poszukać własnego klucza, który wpasuje w gombrowiczowską myśl, twórczość. A kluczy tych może być nieskończona ilość, tak przepastne znaczeniowo i kontekstowo są powieści Gombrowicza. Można dobrać klucz historyczny jak Skolimowski w swoim filmie, klucz lingwistyczny (bo wiele jest zabawy słowem u Gombrowicza); można też pójść za jedną (lub kilkoma) ze słynnych gombrowiczowskich opozycji: forma – chaos, dojrzałość – niedojrzałość, wyższość – niższość, starość – młodość, sztuka wysoka – kicz. Bogdan Michalik, adaptujący „Ferdydurke” na deski częstochowskiego teatru, wybrał jedną z nich: dojrzałość contra niedojrzałość i na tej podstawie (niekiepskiej zresztą) oparł swoją adaptację tekstu, a co za tym idzie krótkie, bo trwające niewiele ponad godzinę, przedstawienie.

Już w opublikowanym dwa miesiące przed premierą manifestie odreżyserskim, jak nazywam tekst Bogdana Michalika odnoszący się do pobudek i inspiracji w adaptacji tekstu Gombrowicza, zapowiedział on, że interesuje go głównie wątek dzieciństwa, niedojrzałości, niedorośliwości. Czyli, krótko mówiąc, „gombrowiczowskiej pupy”. Zgodnie z deklaracją akcja w spektaklu odnosi się do tego jednego, jedyne go wątku, który zawężony został jeszcze przez Michalika do jednego miejsca: szkoły. Spektakl zaczyna się, co prawda, dość długim, ale nie nużącym, monologiem wyjaśniającym znaczenie i wagę „pupy” u Gombrowicza. Michalik musiał posłużyć się tu eksplikacją, żeby wyjaśnić szerszej publiczności, która być może nigdy nie zetknęła się z Gombrowiczem, sens dalszych scen. Chwilę później akcja zostaje jednak przeniesiona do szkoły (za sprawą despotycznego profesora Pimki) i tam już się toczy do końca. Reżyser wybrał z tekstu najsłynniejsze fragmenty, dotyczące tego konkretnego wątku,

i przełożył je, w nowej interpretacji, na scenę. Interpretacji, przynajmniej, często dość zaskakującej. Ale, o ile melorecytacja „wielkim poetą był” w rytm gospel jest dość odkrywcza przez swoją prześmiewczość, o tyle rezygnacja z pojedynku na miny Miętusa z Syfonem, na rzecz zwykłej bójki wydaje się dość znaczącym uproszczeniem. Jednakże, jak zapowiadał reżyser, by trafić do głów młodzieży (a przedstawienie to adresowane jest głównie do niej) trzeba użyć humoru. I dlatego zdarzenia, dziejące się w szkole mają podtekst humorystyczny. Ale jest to, na szczęście i z korzyścią dla spektaklu, humor podszyty refleksją, ironią, oparty na idei gombrowiczowskiego absurdu, łączącego wzniosłość, ale też groteskowe w swej wzniosłości idee z brutalną rzeczywistością. Piękne jest np. wejście Pimki w sam środek uczniowskiej bitwy z piosenką na ustach. Piosenka ta, a jest nią „Tango Milonga”, od razu ściąga uczniów z idealistycznych wyżyn walki o uświadomienie (grupa Miętusa) i niewinność (grupa Syfona) na niziny swojskiej, profesorskiej „pupy”.

Interesującym zabiegiem scenicznym, stosowanym przez reżysera w scenach „szkolnych” jest tzw. „stop-klatka”, czyli zatrzymywanie akcji wtedy, kiedy miały zabrzmieć jakieś ważne, komentujące ją słowa. Zabieg, zatrzymujący w działaniu uczniów po to, by profesor Pimko mógł wygłaszać swoje przemyślenia, dotyczące się „słodkich, różowych pup uczniowskich”. Takie zatrzymanie „dziania się” stosował też często w swoich powieściach Gom-





browicz, wprowadzając stopującą akcję komentarze filozoficzno – światopoglądowe, czy przerywając główny wątek przez wprowadzenie jakiegoś opowiadania.

Nie mogło zabraknąć słynnej sceny rozważań o tym, czy Słowacki zachwyca, czy nie zachwyca, jednak Michalik przeciąga ją nieznośnie. O ile na początku Gałkiewiczówna (bo przerobił reżyser Gałkiewiczowa w dziewczę) jest zabawna w swym nieśmiałym sprzeciwie, to po szóstym z kolei „nie zachwyca” staje się niestety, nudna; choć grająca tę rolę na zmianę Paula Kwietniewska i Agata Ochota – Hutyrar starają się jakoś ożywić statyczną postać (każda na swój sposób). Kwietniewska stawia na buńczuczność, Ochota – Hutyrar wprowadza elementy tzw. szkolnego „olewactwa”. Jednak jakiegoś novum w tej scenie reżyser nie zdołał wprowadzić.

Pyszna jest natomiast scena duetu Kurator (Iwona Chołuj) – Pimko (Michał Kula), omawiającego sposoby wychowywania młodzieży i zalet grona nauczycielskiego, które „nie ma ani jednej własnej myśli”. Świetnie pociągnięta rola diabolicznej Iwony Chołuj, która w jaskrawo czerwonej garsonce, opinającej seksowne jej kształty, wdzierając się

i flirtując, idealnie wpasowuje się w klimat szkoły profesora Pimko. Michał Kula w tej roli przypomina mi nauczyciela z „Lekcji” Ionesco, którego grał parę lat temu, i który też miał nieco zaburzone relacje z uczniami (a konkretnie z uczennicą).

Scen z podtekstem erotycznym wprowadza zresztą Michalik sporo: począwszy od chęci „uświadomienia” Syfona przez pomocne koleżanki, poprzez opisaną powyżej scenę flirtu, do orgazmu profesor Bładaczki (też zmiana płci, w tej roli gościnnie Aleksandra Wojtysiak) w czasie recytacji urywku z „Pana Tadeusza” przez natchnionego Syfona (doskonała rola Antoniego Rota, który łącząc w niej elementy komizmu i groteskowego tragizmu, stworzył przezbawny miszmasz).

Ciekawa, choć dość często stosowana w teatrze, jest też koncepcja „dwóch Józiołów” – Michalik wprowadza Józia 30-letniego i konfrontuje go z Józim nastoletnim. Daje to pretekst do skomentowania i oceny dojrzałości bohatera i jego prób znalezienia sobie miejsca w świecie dorosłych (prób, jak się okaże, nieudanych). Żał jednak, że nie pociągnął reżyser tej koncepcji dalej, że Józio i jego alter ego pokazują się, komentując i komentując wydarzenia, tylko na po-

czątku i na końcu przedstawienia. Niekonsekwencją jest kazać im milczeć przez resztę spektaklu. A szkoda tego pomysłu, tym bardziej, że w rolach podwójnego Józia, obsadzono dwójkę młodych aktorów, którzy w ostatnich latach niezwykle rozwinęli się zawodowo – Sylwię Oksiutę i Sebastiana Banaszczyka.

Dobrze skrojone i perfekcyjnie dograne sceny zbiorowe dodają spektaklowi dynamizmu. Częstochowski zespół aktorski nie po raz pierwszy udowodnił, że potrafi być doskonale zgrany. Ostatni raz wiadać to było tak dobrze w granym kilka lat temu „Kramie z piosenkami” Schillera, w reżyserii Laco Adamika.

Nie jest to spektakl wybitny, nie jest obrazoburczy, nie pokazuje też Gombrowicza w jakiś nowy, bardzo odkrywczy sposób. Ale jest to kawałek przyzwoitego teatru. Każdy musi sam sobie odpowiedzieć: „zachwyca, czy nie zachwyca”? A może tylko bawi? Na pewno otwiera niejedne drzwi do rozumienia „Ferdurke”. Kilkoro kolejnych zaledwie uchyla. Jednakże od uczniów (głównych adresatów tego tytułu), dopiero zaczynających się orientować w rozległym literacko świecie zależy, czy będą chcieli i potrafili znaleźć do nich klucze.

fot. Piotr Dłubak



*Tytuł filmu Jerzego Skolimowskiego, na motywach powieści Gombrowicza.

Skolimowski tak tłumaczy tytuł „30 DOOR KEY”: „Gombrowicz nadał swej książce tytuł, który nic nie znaczy, prócz odległego skojarzenia z postacią z Sinclera Lewisa. Niestety, dla zachodniego odbiorcy, słowo Ferdurke brzmi jak spolszczone imię Ferdynanda. Chcąc uniknąć takiego odczytania wpadłem na pomysł, że fonetyczny zapis FERDY-DUR-KE jest bardzo bliski THIRTY-DOOR-KEY, zaś thirty zanotowane cyfrą 30 pozwala łatwiej zapamiętać ten absurdalny układ trzech słów, gramatycznie bez sensu, czyli tak jak chciał Gombrowicz.”

**Jerzy Jarzębski, „Podglądanie Gombrowicza”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001, s. 123.

Jedynym sensem malarstwa jest kolor, reszta to polityka.

z Ryszardem Mamisem rozmawia ZERO w składzie:
Robert Czyż, Mateusz Szkop, Marian Borowik

Zero: Nie pochodzisz z Częstochowy. Jak to się stało, że znalazłeś się właśnie tutaj?

Rysiek: Podczas drugiej wojny światowej moi rodzice w wyniku zawieruchy dziejowej znaleźli się w różnych miejscach Europy. Tato, przebywający w obozie pracy w Monachium, w 45^l roku odzyskał wolność. W drodze do domu, czyli na kresy wschodnie, utknął w Bytomiu, gdzie poznał moją mamę, góralkę. Po ślubie mama postanowiła, że przeniosą się do Częstochowy, gdyż tu znajdowała się jej rodzina. Sfałszowała podpis ojca i tak dostali przeniesienie.

Do Częstochowy przyjechałem na odkrytej wojskowej ciężarówce. To był czerwiec 1964 roku, jechaliśmy cudowną drogą, pod błękitnym niebem powojennej Polski. Po obu jej stronach rosły czereśnie, które zrywali dla mnie młodzi, przystojni żołnierze w wypłowiałych mundurach.

Zero: Jaką rolę w twojej twórczości odgrywają wspomnienia? A może ważniejsza jest aura tamtych wydarzeń i znaczenie światła?

Rysiek: W przypadku wspomnienia ważne jest wszystko, nie tylko aura i światło. Do moich najlepszych wspomnień należy Rajcza, gdzie mieścił się dom mojej babki. To tam na zawsze pozostało moje serce. Wiem, że to jedynie piękne wspomnienia, piękne, bo dziecięce, przycupnięte na dnie duszy, tak jak te obrazy rzeki, o których Wam opowiadałem. Świat widziany przez spokojny nurt wody prześwietlonej letnim światłem. Stary dom pradziadka pachnący suchym drewnem. Wiedeńskie rupiecie, bezcenne skarby w przytłumionym wszechświecie strychu. Cały jestem z tamtych wspomnień. Zamykam oczy i jestem na powrót w tamtej godzinie, kiedy samotnie włóczyłem się po górach. Wszystko to w słonecznej poświacie pozbawionej konturów, miękkie i zwyczajnie piękne. Jestem nadal tym małym chłopcem. Mały Rysio na dzikiej czereśni, wysoko ponad wsią, wsłuchany w odgłosy z doliny. To najpiękniejsze chwile mojego życia. Dobrze, że istnieją, wiem, że jak przyjdzie czas umierać, jedynie te obrazy będą ostatecznie zamykały światło w moich źrenicach. Może to całe moje malarstwo utkane jest z owej dziecięcej pamięci. Chciałbym żeby tak było.

Zero: Opowiedz nam o tajemniczym trójkącie z twoich młodzińskich lat?

Rysiek: Trójkąt brzmi seksualnie! To tak potocznie się kojarzy, a tu chodzi o męską przyjaźń. Zdrową i pełną subtelności współzawodnictwa. Życie zawsze przybiera jakieś geometryczne formy w kontaktach między ludźmi. Rafała Głowackiego znam od zawsze, a o imieniu Janusz dowiedziałem się gdzieś w okresie studiów. Przewędrowaliśmy razem niejedną wyspę i na niejedno weszliśmy wzgórze. Widzieliśmy niejedno dno bezek opustoszonego naszym pragnieniem. Zostaliśmy malarzami zapewne przez kaprys pokręconych aniołów. Drugi punkt tego "trójkąta" to Zbyszek Sprycha. Pan profesor Zbigniew Sprycha jest mi szczególnie bliski jako przyjaciel i artysta. To wielki człowiek i wrażliwy twórca, który zasłu-

guje na szacunek, a jego twórczość budzi we mnie uczucia, jakie rzadko jest w stanie obudzić kawałek zamalowanego płótna. To najbardziej pracowity artysta jakiego znam.

Zero: Skończyłeś częstochowskie Liceum Plastyczne, dlaczego zdecydowałeś się na ASP w Krakowie? Opowiedz nam coś więcej o tamtych czasach.

Rysiek: Z Rafałem Głowackim już w wieku 12 lat byliśmy „umówieni” na ASP w Krakowie i ta pewność do dziś mnie zadziwia. Okres naszej krakowskiej przygody to czas burzliwej Polski. Wielka solidarnościowa opowieść jako tło naszych małych zmagania - obojętne mi polityczna zawierucha dziejów, która manipuluje narodami do dzisiaj. Czarno widzę przyszłość, ale to nie temat na wywiad. To jedynie moje prywatne spostrzeżenia i przeczucie. Zresztą Polska to zawsze „wielki, czerwony znak zapytania”. Nie lubię tamtego czasu na zewnątrz akademii. Czas w jej szacownych murach to magiczne obrazy: ludzie, nasze przyjaźnie, pasje, poglądy. Rozhuśtana rzeczywistość.

Zero: Jaki wpływ na ówczesne środowisko artystyczne miała Cepeliana?

Rysiek: Powrót do Częstochowy to czas kiedy rozpocząłem życie na własny rachunek. Życie wystawia nas na różne próby i jedną z nich było znalezienie jakiegoś miejsca w domu, w tej naszej częstochowskiej, przyjaznej grupie artystów. Nie wiem na ile mi się to udało. Cieszy mnie jednak fakt, że mogłem przekazać trochę miłości do sztuki wszystkim tym, którzy zechcieli odnaleźć ją w kontaktach ze mną, w PLSP czy też podczas przypadkowych spotkań. Cepeliana to było ciekawe miejsce, pełne szalonych lu-



dzi: twórców, ich wielbicieli, studentów czy też uczniów. Wypiliśmy tam morze wódki. Czasem o nią jedynie chodziło, ale zwykle stanowiła narzędzie. Łatwiej się rozmawiało, niekoniecznie odkrywając wielkie prawdy. Przy kieliszku ludzie się otwierają. Tak to już jest, było i będzie.

Cepeliana to był dla mnie czas twórczy. Malowałem z lekkością chociaż sam snułem się w jakiejś mrocznej poświacie. Kilka obrazów z tamtego czasu wartych jest tych wszystkich chwil. Zdarzały się też inne, które należy przemilczeć. Przemięło. Wódka, malarstwo, poezja zazwyczaj idą w trzy konie. Ich cienie są czarne. Cóż, było się kiedyś młodym i niekoniecznie dojrzałym. Pewnego dnia wstałem od stolika i nigdy już tam nie wróciłem. Lokal zamknięto bez jakiejś wielkiej pompy. Zapadł się jak gwiazda. Pozostały legendy, półprawdy, towarzyskie wypełniacze czasu, kiedy zapada martwa cisza i nagle ktoś rzuca nazwiskiem rozpoczynając opowieść.

Zero: Jesteś chodzącą legendą społecznego nieposłuszeństwa – jakim więc cudem zostałeś dyrektorem artystycznym naszego Liceum Plastycznego? Czy to nie aby ingerencja Matki Boskiej?

Rysiek: Przedziwny „wypadek” miał może swoje źródło w boskiej ingerencji, ale za narzędzie wybrał sobie dyrektora Hajdasa, który zadzwonił do mnie z propozycją pracy. Nie przespałem tamtej nocy, a rano bardzo przestraszony zdecydowałem, że spróbuje wrócić na trochę do szkoły. Cieszę się, że miałem taką okazję. Te dwa lata pracy z młodzieżą są dla mnie bardzo ważne. O legendzie niewiele mogę powiedzieć. Odszedłem ze szkoły tak jak stałem. Wyszedłem i spacerem dotarłem nad „Adriatyk”. Nie ten właściwy, ale ten w cieniu klasztornej wieży. Zanurzyłem się w wodzie i nigdy już nie wróciłem do szkoły. Porzuciłem ją bo nie chciałem mieć nic wspólnego z majstrowaniem przy jej przeniesieniu. Inaczej nie mogłem postąpić i nie żałowałem tej decyzji nigdy. Jedynie czego mogę żałować to tych pięknych chwil w pracowni malarstwa.

Zero: Jak powstają Twoje obrazy?

Rysiek: Z wiekiem coraz trudniej przychodzi mi opanować emocje podczas malowania. Nie jestem z tych, którzy widzą obraz zanim powstanie. Nie szkicuję, nie planuję, nie zamierzam nawet. Maluję nagle, za wczoraj, zanim zapomnę, zanim się zniechęcę, zmienię zdanie, wymyślę inną małą perfidię kompozycji. Zanim trafi mnie szlag i nim zapieje kur. Nim farba zastygnie jak strup na ranie. Zanim będzie za późno.

Malarstwo to strasznie męczący zawód. Ktoś, kto myśli inaczej, jest czystej krwi debilem. Stąd biorą się też nieporozumienia typu „tyle za taki bohomasz?” Nie lubię właściwie malarstwa jako zawodu. Nie jestem i nigdy nie byłem aż tak zdolny, aby namalować temat na zamówienie. Jedynie zamówienia składał mój Anioł. Podszeptuje mi czasem na ucho i śmieje się złośliwie, bo wie, że nie potrafię zarobić tym malarstwem na życie. To mnie jedynie przeraża.

Zero: Należysz do malarzy systematycznych czy incydentalnych?

Rysiek: Właściwie odpowiedziałem przy poprzednim pytaniu. Nigdy nie byłem systematyczny. Moje próby systematycznego odwiedzania sztalugi kończą się w krótkich zapisach i nieskończonych notatkach kolorystycznych. Malarstwo musi się we mnie odnaleźć samo. Pracuję w ogrodzie, a mój Anioł musi mnie tam odnaleźć. Prowadzi mnie wówczas jak dziecko za rękę i szepce do ucha.

Zero: Twoje obrazy oscylują pomiędzy abstrakcją i impresją. Nie kręci cię malarstwo realistyczne?

Rysiek: Malarstwo realistyczne, takie z kością i mięchem przetoczyło się do muzeów. To, co bywa jego namiastką - jakieś współczesne twory - są mi obce. Dygocę na samo wspomnienie niektórych prac, ale nie wymienię twórców. Sztuka podlega ewolucji jak wszystko w tym najlepszym ze wszechświatów. Nie ma tu miejsca na powroty, głupawe cytaty i kiczowate, pozbawione warsztatu oraz ducha, martwe od samego początku obrazy. Nie można doścignąć niedoścignionych. Nie ma powodu by tak czynić.

Każdy z nas to osobna opowieść, pozostawajmy wierni sobie i czasem, Kochajmy to, co w sztuce wielkie. Jedynym sensem malarstwa jest kolor, reszta to polityka. Nie ma powodu żeby malować coś, czego się nie chce. Malarstwo jest tym rodzajem wolności jakiego nie znajdzie się nigdzie indziej. No może poza muzyką. Najbliższy jest jej jazz z jego improwizacją.





Zero: Oprócz malowania pasjonujesz się również fotografią i grafiką. Opowiedz jak powstała seria zdjęć „Powrót do przeszłości” podczas twojego pobytu w Liverpoolu?

Rysiek: Pasja to za dużo powiedziane. Mam trochę sprzętu, obecnie oba aparaty odmówiły posłuszeństwa i czeka je naprawa. Nie cierpię jednak z powodu tej przerwy. Fotografia jest dla mnie jedynie czasem relaksu. Nie traktuję jej zbyt poważnie i nie jestem wielbicielem samej dyscypliny. Zawsze traktowałem ją jakoś podrzędnie. Zdjęcia, o które pytasz, to czysta reporterska sytuacja. Jechałem autobusem z żoną i właśnie ona zauważyła, że na ulicy obok uniwer-

sytetu ekipa filmowa nakręca jakies sceny sprzed wieku. Wskoczyliśmy z czerwonego piętrowca na przystanku. Zrobiłem kilkanaście zdjęć. Po jakimś czasie przyszedł mi na myśl tytuł i tak już zostało. Lubię ten cykl, chociaż moja zasługa w tym mała. Nie jestem dobrym fotografem.

Zero: Obecnie mieszkasz w Przyrowie. Dlaczego wybrałeś to miejsce? Jak Ci się tu żyje?

Rysiek: Miejsce wybrałem również spontanicznie i przypadkowo, jak na mnie przystało. Mieszkam już czternaście lat w tym miejscu i tyle też lat ma mój najwierniejszy przyjaciel, Rico. Teraz jest już psem staruszkim i wypoczywa na zasłużonej „emeryturze”, ale

kiedyś wędrował ze mną po tych rozległych przestrzeniach.

Mieszkamy z żoną w małym domu z kamienia, dużo czasu zabiera nam ogród. Kto ma, ten wie jak trudno utrzymać go w ryzach. Żyję na uboczu spraw, nie traktują mnie tutaj jak obcego, ale nie jestem też kimś bliskim. Nie mam tu przyjaciół prawdziwych, raczej znajomych. W moim wieku trudno nawiązuje się przyjaźnie. Polegam na tych stałych, których mi nie brakuje. Czasem zabłądzi tu do mnie dobra dusza, jak Wy w kilku osobach. Miło mi było niezmiernie Was gościć, ale już sami musicie napisać, jak żyje mi się tu nad Wiercicą.

Rozmowa z Ryszardem Mamisem przeprowadzona została ponad rok temu w Przyrowie pod Częstochową dla Kultowego Czasopisma Kulturalnego „Zero”. Numer, w którym miała się znaleźć, niestety nigdy się nie ukazał. Dziękujemy autorom za udostępnienie materiału i zdjęć.



fol. Robert Czyż

O kurach, które chciały odmienić miasto.

Adam Florczyk

(dumny właściciel Florki, kury nr 41)

Kury to ważne figury. Pojawiły się w mieście zupełnie niespodziewanie. Nie zapowiadali ich prorocy, na niebie nie rozbłysła żadna specjalna gwiazda. Na początku sierpnia po prostu zaczęły wychodzić na ulice i rozpoczęły reakcję łańcuchową. Dwieście skromnych gipsowych kur zatrzęsło miastem, a akcja, wymyślona przez lokalnego artystę Szymona Motyla, okazała się bezkonkurencyjnym hitem wakacji.

Pomysł piękny w swojej prostocie. Podarować ludziom obiekty artystyczne, sprowokować ich do interakcji, do włączenia się w akt twórczy, by na końcu owoce tego kolektywnego współdziałania mogły zawisnąć w profesjonalnej galerii sztuki. Całość wymyślona z dużą lekkością i poczuciem humoru. Nikt tu nie łamał nóg w wyścigu na oryginalność. To raczej piękny ukłon w stronę etosu sztuki współczesnej: sztuka jako proces, artysta i odbiorca po równo odpowiedzialni za dzieło, poddawanie w wątpliwość tradycyjnych ścieżek obiegu sztuki. Wszystko podane przy tym w formie atrakcyjnej, gry, zabawy.

Ważne jest też samo miejsce akcji. Częstochowa nie jest przyzwyczajona do tego typu twórczości. Pojedyncze wycieczki w rejony performance, happeningu, czy jeszcze bardziej niedookreślonych form artystycznego wyrazu, pozostają prawie niezauważone. Nikną wśród wydarzeń poważnych, o wyraźnie określonej formie (wystawa, koncert itp.) oraz tych z misją. W tym kontekście cała kurza akcja nabiera charakteru wyzwania. Jesteśmy na pustyni, a mamy uczyć się żeglowania po oceanach. Cieszy, że znalazł się ktoś, kto podniósł tę rękawicę. Choć inicjator „Kury w akcji” nie ukrywa, że długo wahał się czy warto startować z tym projektem w rodzinnym mieście. Czy nie lepiej spróbować w bardziej przychylnym środowisku. Postawił jednak wszystko na jedną kartę, a Częstochowa odwdzińczyła mu się nagłym wybuchem miłości do kur.

Całość rozgrywa się w klasycznej formule trzech aktów:

Kura w ruchu

Kury we współczesnej sztuce funkcjonują na całkiem eksponowanych miejscach. I to zarówno w Polsce (Piotr Lutyński) jak i na świecie (Petrit Halilaj). Coś musi być magnetycznego i pociągającego w tym gatunku drobiu. Dlatego nie ma sensu pytać, dlaczego Szymon Mo-

tyl również sięgnął akurat po kury. Takie pytanie wydawałoby się najbardziej oczywiste, lecz to ślepa uliczka. Wybór jest arbitralny i motywowany subiektywnymi przesłankami. Nie kryją się za nim jakieś istotne sensy. Punkt ciężkości przeniesiony jest na samą akcję, a nie jego gipsowe obiekty. Mówiąc wprost: ważne co z tymi kurami się dzieje, a nie dlaczego są.

W pierwszym etapie, na początku sierpnia, gipsowe figury kury wyszły na ulicę, w poszukiwaniu chętnych do zabawy. Każda była sygnowana przez artystę, numerowana i przede wszystkim opatrzona adresem internetowym [www.kurawakcji.pl]. Tam można było znaleźć wskazówki, co dalej z nią robić: obdarzyć uczuciem, nadać imię i obfotografować. Bo właśnie fotografia jest tu kluczowym elementem. Kurobiorca ma tu nieograniczone pole do popisu, sam decyduje, w którą stronę akcja zmierza.

Pierwsza kura wzbudziła sporą konsternację. Ludzie mijali ją, oglądali, fotografowali – lecz tak naprawdę nie wiedzieli jak się zachować wobec tak niespodziewanego obiektu w przestrzeni miejskiej. W końcu ktoś nie wytrzymał i ją porwał. W konspiracji, bo bał się, czy przypadkiem nie łamie prawa.

Z dnia na dzień jednak popularność akcji zataczała coraz szersze kręgi. Pomogła witryna internetowa, profesjonalne ulotki, zainteresowanie lokalnych mediów





Kura POPo (nr 72) – aranżacja i fot. Adam Markowski, Beata Karaś-Markowska, www.adammarkowski.pl

Iu trudno było uwierzyć, że nie kryje się za tym żaden podtekst komercyjny czy polityczny. Większość jednak reagowała na całą akcję uśmiechem. A pojedyncze głosy „dla mnie to bez sensu”, nikły w silnej aurze entuzjazmu i doskonałej zabawy.

Mieszkańcy Częstochowy z wyróżnieniem zdali egzamin z oswojania przestrzeni miejskiej. Zainspirowani przez Szymona Motyla, na chwilę zmienili plac, który mijają codziennie, w miejsce niezwykle. Miejsce gdzie nie trzeba się nigdzie spieszyć, gdzie po prostu siedzi się i patrzy, jak gipsowe kury znoszą prawdziwe jajka, gdzie nie wszystko musi mieć namacalny, przeliczalny na gotówkę sens i cel. Wyznacznikiem wyjątkowości jest zaś oryginalny wzór na kurze. I znów znaczenie ma miejsce: Plac Biegańskiego, którego przyszłość się właśnie waży. Nad którym wisi groźba, że po remoncie stanie się pustą, martwą przestrzenią.

Tradycyjnie chętnych na kury, było dużo więcej niż gipsowych figur. Po raz kolejny o wstąpieniu do elitarnego grona kurobiorców decydował ślepy los. Ktoś zostawał kurobiorcą, choć na placu pojawił się przypadkiem, a brał, bo rozdawali coś za darmo. Inny, który polował na drób od dłuższego czasu, znów musiał obejść się smakiem. Bo ważna była sama akcja, działanie. A na drugim planie dopiero to, czy kura wy-

łąduje na strychu lub w ogrodzie, czy też będzie dopieszczana i wożona po mieście. Każdy uczestnik i jego strategia była równoprawna.

Kura w galerii

Finał „Kury w Akcji” odbył się 15 października. Tym razem drób zaatakował Miejską Galerię Sztuki. Akcja wyeksponowana została w bardziej oswojonej formule - wystawy zdjęć, ale nie straciła przy tym nic ze swojej przewrotności. Prezentowane tam prace nie są bowiem autorstwa Szymona Motyla (w każdym razie większość z nich). On tylko dokonał wyboru spośród setek nadesłanych do niego fotografii. Dzięki temu odbiorca sztuki tylny-



i przede wszystkim poczta pantoflowa. Coś się dzieje w mieście, można zgarnąć kurę. Ludzie wyglądali internetowych przecieków z informacją, w którym miejscu i o której godzinie pokaże się nowa figura przez co zdobycie własnej kury stawało się wyzwaniem. Codziennie zjawiało się wielu chętnych, a kura była tylko jedna. Trzeba było zatem konkurować o jej względy w quizach, konkursach sprawnościowych, czy po prostu w losowaniu. Najbardziej wytrwali, stawali do takich zawodów kilkanaście dni z rzędu.

Szymon Motyl sam przyznaje, że nie spodziewał się, iż „Kura w Akcji” spotka się aż z takim odzewem. Zaskoczony był kierunkiem, który akcja przybrała, gdy już oddał ją mieszkańcom Częstochowy. Nagle szczęśliwi kurobiorcy zaczęli chadzać z gipsowymi figurami na spacerach i przejażdżki rowerem. Zabierali je do ulubionych knajp i na różne imprezy kulturalne, nie zważając na zdziwione spojrzenia przechodniów. Kury nabrały różnych kolorów, wzorów i indywidualnego charakteru. Stały się bohaterkami fotokomiksu i towarzyskich anegdot. A wszystko to można było śledzić nie tylko w oficjalnej galerii internetowej akcji, ale również na wielu częstochowskich fotoblogach i prywatnych facebookowych profilach.

Kolekcja zdjęć, na których ma się opierać finał akcji, rozrastała się w imponującym tempie. Kilka tygodni przed końcem, organizatorzy zebrali już prawie 400 kadrów. Większość jest dowodem, że częstochowianie szybko złapali ideę i doskonale potrafią się bawić: kura w egzotycznych podróżach, w stroju kosmonauty, na dachach budynków, na porodówce, na talerzu, na polu golfowym. Oglądając je wszystkie, nie można się nie uśmiechnąć. Wreszcie ktoś dał nam pretekst, byśmy mogli szaleć jak dzieci i my z wielką ochotą z tego skorzystaliśmy.

Kura na placu

12 września kury zajęły Plac Biegańskiego. Można uznać, iż był to etap przejściowy całej akcji. Już trochę ekspozycyjny, ale nadal prowokujący widza do współdziałania. Przez trzy godziny stadko kur w centrum miasta, prowokowało ludzi do reakcji. Przypadkowi przechodnie, nieświadomi nawet, że fundamentem całej inicjatywy jest fotografia, masowo korzystali z aparatów w swoich telefonach komórkowych. Szkoda, że te wyrosłe ze zdziwienia zdjęcia, mają niewielkie szanse by pojawić się w galerii, i będą służyć tylko jako świadectwo tego „co dziwnego mnie ostatnio spotkało”.

Wcześniejszy etap, w dużym stopniu opierał się na internecie, więc trafił głównie do ludzi młodych. Tym razem jednak czuła wiek zupełnie straciła na znaczeniu. I młodszy i starsi podchodzili do gipsowego stadka, by sprawdzić o co tu chodzi. Dla wie-

Kur Stefan Witek (nr 140)
...z Chelmońskiego
fot. z zamiawki.net





Kura Gertruda (nr 31) – fot. Marcin Opalczyński,
galeria-fotograficzna.prv.pl



mi drzwiami wkradł się do galerii i pojawił się tam nie tylko jak widz. W końcu mamy XXI wiek i dawno już rozmył się podział między twórcą, a odbiorcą. Dobrze, że jest ktoś, kto nadal ma siły przypominać o tym w Częstochowie.

Wernisażowi wystawy towarzyszył performance Anny Bierackiej zatytułowany „Kurę z siebie robię”, oprawą muzyczną zajął się Kacper Kapsa, natomiast „na zapleczu” wystawy Wojtek Barczyński zmontował prowizo-

ryczne studio fotograficzne, gdzie każdy uczestnik wernisażu mógł się sfotografować z kurą (własną bądź cudzą). Cieszy niezmiernie fakt, że tak poważne instytucje kultury, jak Miejska Galeria Sztuki mają odwagę, by wspierać mniej konwencjonalne działania artystyczne.

Jest również szansa, że akcja zatoczy piękne koło. Że kury znów wyjdą na ulicę, tym razem w formie fotograficznej ekspozycji. I ponownie przypadkowy spacerowicz, będzie musiał jakoś poradzić sobie z faktem, że po jego mieście chodzą kury.

Szymon Motyl rzucił wyzwanie miastu, przy pomocy prostych środków i ogromnej dawki entuzjazmu. Skierował swoją akcję do wszystkich, umieścił ją poza tradycyjnym obiegiem sztuki. Pokazał, że artysta nie zawsze musi na poważnie, z patosem. Dzięki temu trafił w czuły punkt i odsłonił fakt, że ludzie w naszym mieście stęsknieni są za czymś więcej. Wyglądają w kulturowym naskórku Częstochowy czegoś świeżego, lekkiego. Okazało się, że mieszkają tutaj ludzie, dla których miasto nie kończy się na relacjach ekonomicznych, strategiach politycznych i pielgrzymkach religijnych. „Kura w akcji” pokazała im Częstochowę, taką, jaką chcieliby ją widzieć.



Final akcji – fot. Piotr Kras

Lato w teatrze w trzech aktach

Mateusz Szkop

zdjęcia: Piotr Kras

Prolog

W ramach ogólnopolskiej akcji "Lato w Teatrze", Teatr From Poland oraz stowarzyszenie Proartystyczne Integracja zorganizowały w czasie wakacji warsztaty teatralne. Skierowane one były do wszystkich młodych ludzi zainteresowanych tą dziedziną sztuki, którzy dodatkowo mogli poznać tajemnicę jej tworzenia. Postanowiłem napisać o nich kilka słów gdyż wydały mi się przedsięwzięciem całkiem udanym, wyróżniającym się na tle innych podobnych oraz niewątpliwie godnym kontynuacji. Wystarczyło przyjrzeć się stronie organizacyjnej i merytorycznej całego przedsięwzięcia aby domyśleć się jego efektywnego przebiegu. Pozwoliłem sobie nawet na ich delikatną analizę

przedstawioną poniżej w postaci trzy aktowej sztuki, aby również i formalnie nawiązać do tematu. Jeśli chodzi o atmosferę pracy z młodzieżą o komentarz poprosiłem koordynatora i jednego z prowadzących zajęcia - Wojtka Kowalskiego.

akt I w którym na scenie pojawiają się organizatorzy oraz garść niezbędnych informacji.

Główną jednostką realizującą warsztaty był Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego w Warszawie oraz Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Oprócz Częstochowy uczestniczyło w nich 17 innych miejscowości. Nasz rodzimy Teatr From Poland znalazł się więc w towarzystwie m.in. Teatru Polskiego we Wrocławiu, Śląskiego Teatru Lalki i Aktora "Ataneum" i Teatru Dramatycznego w Białymstoku. Ideą "Lata w teatrze" było

zorganizowanie działań teatralnych dla dzieci i młodzieży o charakterze pół koloni, dzięki którym wspólna aktywność byłaby szansą dla młodych na poznanie swego rodzaju "alfabetu sztuki teatru", na samodzielne zastosowanie w praktyce języka teatru oraz na wyrażenie siebie poprzez akt twórczy. Stanowiło to świetną atrakcję dla wszystkich tych, którzy zmuszeni byli wakacyjną przerwę spędzić w domach, teatrom z kolei, pozwalało przedłużyć działalność o kolejne kilka tygodni sezonu ogórkowego.

akt II w którym na scenie pojawiają się prowadzący warsztaty i zawiązuje się akcja.

To co wyróżniało nasze częstochowskie warsztaty spośród pozostałych to niewątpliwie ich strona merytoryczna. Ich głównym założeniem było promowanie mniej popularnych form teatralnych. Projekt nazwany "Różne punkty widzenia" miał wzbudzić zainteresowanie teatrem ulicznym, kuglarskim i happeningowym a jego uczestnicy uczyli się m.in. chodzenia na szczudłach, kręcenia kiwido, jazdy na unicyklu i żonglerki. Jak podaje strona internetowa projektu "poprzez warsztaty uczestnicy będą mogli się przekonać że teatr można robić nie tylko na scenie pudełkowej, ale w przestrzeni otwartej, nie na koturnach, ale także na szczudłach, nie deklamatorsko jak na akademiach szkolnych, ale emocjonalnie, nie odtwórczo wobec tekstu, ale nakłaniając do

wyrażania treści własnym językiem." Zajęcia odbywały się w grupach o profilach: aktorskim, muzycznym, kostiumowo - scenograficznym oraz promocyjno - dziennikarskim. Warsztaty poprowadzili ludzie związani bezpośrednio z teatrem jak Jarosław Filipiński, Wojciech Kowalski lub Marek Kołbuk z teatru MOMO, którzy uczyli młodzież nie tylko jak zachowywać się na scenie (dykcja, mimika, ekspresja ruchów, pantomima) ale również opowiadali o tajnikach reżyserskich i aspektach teoretycznych. Jaromir Puszek, muzyk związany z takimi zespołami jak Habakuk, Izrael czy Maleo Reggae Rockers opowiadał i demonstrował związki teatru z muzyką i rytmem. Joanna Chwastek Tatarek, absolwentka Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Katowicach, uczestniczka wielu międzynarodowych warsztatów teatralnych, pomagała odnaleźć się w temacie plastyki, dekoracji i kostiumów. Marta Odziomek i Janusz Pawlikowski uczyli z kolei jak o teatrze pisać i rozmawiać oraz jak skutecznie promować go w mediach. Całość zamykał Arkadiusz Gerlic, cyrkowiec i klaun, demonstrując swoje niesablonowe i niestandardowe umiejętności.

akt III w którym poznajemy głównego bohatera - uczestników warsztatów oraz następuje punkt kulminacyjny.

Jeśli ktoś zaobserwował w dniach 05 - 18 lipca dziwne i paranormalne zjawiska na ulicach miasta a w szczególności w okolicach „kwadratów”, zapewne doświadczył skutków działalności warsztatów teatralnych. Ich uczestnicy czyli młodzież w wieku 15 -19 lat, po codziennych naukach i zajęciach teoretycznych, wyruszała bowiem w poszukiwaniu widzów na ulicę miasta, przekłuwając naukę w zajęcia praktyczne. Te spontaniczne happeningi poprzedzone były jednak konkretnymi warsztatami. Każda taka „akcja” szlifowała więc zdobyte uprzednio umiejętności i wiedzę w temacie m.in. bodypainting'u, choreografii, pantomimy czy żonglerki. Ich efekty oraz głównych bohaterów „Lata w teatrze” najlepiej prezentują zamieszczone obok zdjęcia. W drugim tygodniu warsztatów uczestnicy przygotowywali się do spektaklu finałowego pod tytułem „Różne punkty widzenia”, który zaprezentowano dwukrotnie,

w dniach 18 i 19 lipca, w Alejach i na placu im. W. Biegańskiego. Warsztaty zmieniły się bardziej w teoretyczne i dotyczyły bardziej dziennikarskich zagadnień takich jak analiza i interpretacja widowiska teatralnego lub nauka pisania o teatrze lub skupiały się wokół zagadnień i związków muzyki z teatrem.

Epilog

czyli rozwiązanie akcji oraz komentarz Wojtka Kowalskiego, dzięki któremu cała sztuka zmienia charakter i formę oraz pokazuje swoje prawdziwe oblicze, osadzone w głębokich czasach nowomowy.

„Największą radością dla nas organizatorów-instruktorów było zaangażowanie tych młodych ludzi do ćwiczeń. To była pierwsza połowa lipca i codziennie temperatura dochodziła do trzydziestu kilku stopni. Żar lał się z nieba, a my po kilka godzin dziennie na asfalcie przed Teatrem from Poland ćwiczyliśmy różne układy, wiersze, piosenki, chodzenie na szczudłach, żonglerkę itp. Byliśmy pełni podziwu dla wytrwałości i sumienności tych młodych ludzi. Zobaczyliśmy, że w Częstochowie jest fantastyczna młodzież, której się chce dla samego faktu chcenia! Te dwutygodniowe spotkania były przyczynkiem do nawiązania nowych znajomości, przyjaźni. Większość "warsztatowiczów" po raz pierwszy brała udział w tego typu zajęciach. 18 - 19 lipca pokazaliśmy naszą pracę mieszkańcom miasta na "Kwadratach", ku uciesze przechodniów.”



ROCK & ROLL

Big-beat

I COŚ DO TAŃCA

Rafał Salamucha: Jaka jest geneza The Goodboys?

Janusz Yanina Iwański: Na to pytanie właściwie powinien odpowiedzieć Marek Jackowski. Ale znam historię. Jeszcze w trakcie pracy w zespole Maanam, Marek zaproponował mi, żebym napisał trochę piosenek. Później tak się złożyło, że Marek wyprowadził się do Włoch, i namówił mnie, byśmy stworzyli razem coś nowego. Tak zwany „męski” zespół. W związku z tym część piosenek, które były już napisane znalazły swoje miejsce w nowej grupie. Nie mieliśmy jeszcze wtedy pomysłu na nazwę. Zaprośmy kilku muzyków, a Marek zaproponował, żeby z nami wystąpił gościnnie jako trzeci wokalista Gianni Dominici, którego poznał na dalekim południu Włoch. Właśnie w ten sposób ułożył się skład zespołu. Mieliśmy bardzo dużo melodii, ale wybraliśmy piętnaście. Każdy z nas miał zaśpiewać po pięć piosenek. Pewnego dnia Marek zadzwonił i powiedział, że ma pomysł na nazwę, The Goodboys. Troszkę przewrotnie, bo kojarzy się bardziej...

R.S.: z boysband' em... (śmiech)

J.Y.I.: To niby jest boysband (śmiech). Nie do końca, bo jest jedna dziewczyna, Zuzia, która gra partię smyczków i śpiewa chórki. W trakcie pracy nad płytą mieliśmy wiele kompozycji lecz nie mieliśmy wszystkich tekstów do piosenek i pracując nad materiałem do płyty, zaprosiłem Małgosię młodą autorkę by spróbowała napisać kilka tekstów.

O zespole The Goodboys
z Januszem Yaniną Iwańskim
rozmawia Rafał Salamucha

zdjęcia: Piotr Dłubak

R.S.: A pozostały skład muzyczny? Z czego wynikał dobór muzyków?
J.Y.I.: Zaprośmy najlepszych i do tego jeszcze przyjaciół.

R.S.: Mogę prosić o ich przedstawienie i krótką prezentację?

J.Y.I.: Legendarny perkusista Andrzej Ryszka mieszkający obecnie w Kanadzie (Krzak, Nalepa, Tie Break), Marcin Lamch na basie i Czarek Kazimierzczak, wieloletni Maanamowiec, na Hammondzie i keyboardzie oraz wspomniana Zuzanna Iwańska - smyczki i chórki. Na koncertach będą z nami grywać Agnieszka Kural na basie i Przemek Pacan na perkusji.

R.S.: Na oficjalnej stronie internetowej zespołu, można przeczytać o głównych artystach, czyli o tej trójce, o której Pan powiedział – „trzy różne osobowości”. Jak takie trzy różne, oryginalne osobowości mogą razem nagrać płytę? Jak jest z osiągnięciem wspólnego rezultatu, kompromisu, ostatecznej wersji?

J.Y.I.: Rezultat jaki jest, słychać na płycie, która od czerwca na rynku. Można ją kupić w Empiku i marketach oraz przez internet. A jeżeli chodzi o zderzenie osobowości to kiedyś zespoły miały wielu wykonawców piosenek. Myślę, że cały big-beat tak funkcjonował. Wystarczy spojrzeć na polski rynek i policzyć jak wielu wokalistów miały kiedyś takie zespoły jak: Niebiesko Czarni, Czerwone Gitary, Budka Suflera, Czerwono Czarni i cała rzesza innych zespołów z tamtego okresu. W związku z tym materiałem jest różnorodny. Bo co chwile zmienia się wykonawca. Ci sami muzycy grają na całej płycie, zmieniają się tylko wokaliści. W dzisiejszych czasach jest to dość oryginalna propozycja. Płyta ma trzech różnych śpiewających wykonawców, ale jest bardzo spójna przez temat miłości i przez to, że wszyscy razem pracowaliśmy nad tą płytą. Każdy słuchacz na pewno znajdzie coś dla siebie.

R.S.: No właśnie... co do tematu. Nie baliście się Panowie sięgnąć do tematu miłości? Tyle tysięcy tekstów, piosenek, wierszy było napisanych na ten temat.

J.Y.I.: Myślę, że to temat rzeka. Miłość jest sednem życia człowieka, więc to temat na całe życie, a w dodatku jest szalenie interesujący, intrygujący, niepoznany i wciągający oraz nie do wyczerpania.

R.S.: A jak doszło do współpracy z autorką tekstów do niektórych piosenek na płycie, częstochwianką Małgorzatą Lżyńską?

J.Y.I.: Zapraszając Małgosię Lżyńską do współpracy wiedziałem, że coś z tego powstanie. Kiedyś Małgosia dała mi setkę swoich wierszy. Przeczytałem i uznałem, że są tam ciekawe wersy, może jeszcze niedojrzałe, ale interesujące motywy, nad którymi pracowaliśmy i w ten oto sposób powstawały teksty do piosenek. Ludzie, którzy chcą zobaczyć jak to wygląda, muszą sięgnąć po płytę Goodboysów.

R.S.: Otaczając się w artystycznym świecie zainteresował się Pan tekstami zupełnie nieznanymi, młodej poetki? Przecież poetów jest tak wielu, a Pan sięgnął po teksty nieznanne...

J.Y.I.: Proszę zerknąć na film Rejs. Ludzie lubią to, co znają. Żeby znać piosenkę, trzeba ją poznać. Żeby ją poznać, trzeba ją wielokrotnie gdzieś usłyszeć, żeby ją polubić. Wtedy się ją zna. To jest naturalna kolej rzeczy, że ktoś kto jest nieznan, ale jest interesujący, z czasem staje się znany. Nowych dobrych twórców i artystów należy promować. Mamy mnóstwo programów telewizyjnych, różnych show które mówią, jak stać się sławnym. Ale tak naprawdę wychodzą z tego jednostki, i to te, które niezależnie od tych programów by zaistniały. Nie ukrywam, że trochę czasu zajęło nam z autorką tak zwane szlifowanie materii tekstowej. Ale Mał-

gosia bardzo szybko dała sobie radę. Szybko zorientowała się na czym polega sztuka pisania słów do melodii. I mam nadzieję, że słuchaczom będą się podobać właśnie te piosenki.

R.S.: Czy tekst musi spełniać jakieś kryteria?

J.Y.I.: Poza tym, że musi być dobry to jeszcze musi współgrać z melodią. Jeśli chodzi o mnie to muszę czuć historię zawartą w tekście. Bez względu na to czy ona jest o kamieniu, o miłości czy o prozaicznych bądź fantastycznych rzeczach. Jest mnóstwo pięknych wierszy wybitnych poetów i tak wiele doskonałych tekstów jednak ja nie potrafiłbym ich zaśpiewać. Są artyści, którzy świetnie sobie radzą z interpretacją. Mają do tego dar i aktorską predyspozycję. Ja jednak potrzebuję mieć dużą identyfikację z tekstem bo w innym przypadku byłbym fikcyjnym wykonawcą. Ja nie jestem aktorem, piosenkarzem sensu stricto, ja uprawiam piosenkę autorską.

R.S.: Biorąc pod uwagę Pana piosenki z płyty The Goodboys, to najpierw powstawały teksty a potem muzyka, czy odwrotnie?

J.Y.I.: Część piosenek w całości napisałem sam. Czasami jest tak, że biorę gitarę, gram i od razu nagrywam melodię-motywy który słyszę, albo piszę tekst a potem nagrywam i tekst i melodię. Jeżeli chodzi o teksty Małgosi, to prawie od razu mogłem je zaśpiewać. Było tak, że dałem jej wcześniej nagrany melodię a ona na drugi dzień przynosiła mi po kilka wersji tekstu i po małej korekcie idealnie pasowały.

R.S.: Dlaczego tych pozytywnych, na bardzo wysokim poziomie muzycznym, tekstowym piosenek nie promują polskie stacje radiowe? Jak to się dzieje, że w polskich stacjach radiowych, poza kilkoma wyjątkami, jest tak niewiele polskiej muzyki?





J.Y.I.: Polscy twórcy od dłuższego czasu walczą, żeby polskie media nadawały więcej muzyki rodzimych twórców. Myślę, że to jest bardzo ważna rzecz dla kultury polskiej. Mamy własny język. Mamy własną twórczość. Proszę zwrócić uwagę, że mnóstwo zespołów świetnie gra i śpiewa po polsku. Problem polega na tym, że teksty są najczęściej kalką np. z języka angielskiego. Przecież mamy świetną literaturę polską. Świetnych poetów i tekściarzy, a tu ja słyszę polskie słowa i nie rozumiem o czym jest piosenka, bo to jest kod innego języka. I w związku z tym nie wiem czy to jest po polsku? Jesteśmy Polakami, myślę że powinniśmy zadbać o to, żeby szanować i przekazywać polskie myśli. To, co robili polscy twórcy przez całe wieki. O co walczyli, o co się toczyły wojny, żeby język przetrwał. Nie wiem skąd jest takie ciśnienie na śpiewanie po angielsku. Przecież nie będziemy nigdy Anglikami. Nie będziemy Rosjanami, Amerykanami, ani Niemcami. Jesteśmy Polakami. I bardzo ważne jest dbanie o to kim jesteśmy we współczesnym świecie. Powiem taką ciekawostkę. Grając kiedyś koncerty z SoykaYanina w Meksyku, mieliśmy w repertuarze piosenki anglojęzyczne. I po pierwszym koncercie, a było ich kilkanaście, producent koncertów w Meksyku powiedział, żebyśmy nie śpiewali po angielsku, tylko po polsku. Oni język angielski mają za ścianą. Mają go w nadmiarze. Dla nich interesujące jest to, co jest polskie, bo ciekawe i egzotyczne. W związku z tym cały repertuar śpiewaliśmy po polsku. To jest bardzo ważne, bo wtedy opowiadamy o sobie pokazując barwę naszego języka. Oczywiście można mieć piosenki w innym języku w swoim repertuarze. Ale jesteśmy w Polsce. Dziewczyny polskie rozumieją po polsku. Należy do Polaków zwracać się w języku polskim. Jest to naturalne i bardzo normalne. Powinniśmy cenić i szanować to, że mamy własny oryginalny język, że przetrwał wichury i różne burze hi-

storii, które, mam nadzieję, że większość młodych ludzi zna. Bo starsi znają. Myślę, że warto o to zadbać. Proszę zwrócić uwagę, że po 89' roku w Polsce zaczęły mieć silne wpływy angloamerykańskie koncerty muzyczne. Nagle okazało się, że coraz mniej mamy polskich twórców i artystów. Jak to jest możliwe? Ja tego nie rozumiem, przecież jesteśmy wolnym krajem i tym samym społeczeństwem. Dlaczego się nie promuje polskich artystów i twórców z najwyższej półki? Telewizje i radia nadają niewiele procent muzyki polskich twórców we własnym kraju. No to kim my tu jesteśmy?

R.S.: Na płycie pojawia się akcent rodzinny. Pana córka Zuzanna zagrała na altówce i wzbogaciła utwory wokalnie. Trudno jest pracować z własnym dzieckiem?

J.Y.I.: Nie ukrywam, że współpracowników traktuję jak przyjaciół ale też jak profesjonalistów. Prawda jest też taka, że z dziećmi pracuje się inaczej bo czasami nie jest to luksusowa i komfortowa sytuacja, tak dla jednej jak i dla drugiej strony, ale Zuzia jest zawodowym muzykiem i świetnym współpracownikiem Kończy w tej chwili Akademię Muzyczną w Krakowie na wydziale instrumentalnym. W związku z tym wymagam od niej tego samego, albo nawet więcej niż od innych muzyków.

R.S.: I cały czas jest to relacja rodzic – dziecko?

J.Y.I.: Jeśli chodzi o współpracę muzyczną, to cały czas traktuję córkę jak profesjonalistkę. Ale nie da się uniknąć zderzeń rodzinnych. One bywają czasem bolesne, dla obu stron. Ale jeśli mamy do czynienia ze sztuką, to trzeba pamiętać, iż sztuka nie znosi kumoterstwa. W związku z tym, te relacje są zawsze ostre i ogniste. Bardziej drastyczne niż pozarodzinne. To jest ważna rzecz, żeby nie zrobić czegoś co by osłabiło muzykę. Wszyscy się tego uczymy. Większość artystów ma dzieci. Nie wszystkie idą w tę

samą stronę. Ale najczęściej tak jest, że dzieci z rodzicami nie współpracują właśnie z tych powodów. W tym przypadku ta współpraca się świetnie ułożyła z czego się bardzo cieszę. Trochę nerwów było (*śmiech*).

R.S.: A spróbowałby Pan scharakteryzować tę płytę muzycznie?

J.Y.I.: Big Beat i Rock & Roll oraz coś do tańca. Można by też powiedzieć o tej płycie, że jest też coś dla tych o których zapomniano.

R.S.: No i jeszcze blues. Ciężki spokojny w stylu Dżemu, albo Nalepy. Skąd on się wziął i ta przenikliwa solówka na gitarze?

J.Y.I.: Może wspomnę, że Marek Jackowski grał i nagrywał w pierwszym składzie Anawa największe przeboje z Markiem Grechutą. Potem był współtwórcą Osjan i w końcu Twórcą legendarnej grupy Maanam, a ja mam za sobą takie zespoły jak Reverberator, Tie Break, free jazzowe różne zespoły i duet SoykaYanina który na pewno pan słyszał a to co stworzyliśmy teraz jest wypadkowa naszych dokonań. My nie musimy się już ścigać ani udowodniać czegokolwiek światu. Po prostu gramy, co nam w sercu gra.

R.S.: Piosenka *Poranne marzenie* zadedykowana jest Bogdanowi Łyszkiewiczowi, nieżyjącemu wokaliście zespołu Chłopcy z Placu Broni. Z czego wynika ta dedykacja?

J.Y.I.: Wnikliwemu słuchaczowi ta odpowiedź będzie bardzo prosta. Gdyby Boguś Łyszkiewicz żył, to zaśpiewałby z nami na tej płycie. Tak Marek Jackowski, jak i ja znaliśmy Bogusia bardzo dobrze. I on by świetnie się zmieścił w tej muzyce. Myślę, że gdyby żył to właśnie On zaśpiewałby tę piosenkę. On by to mógł zrobić najlepiej.

R.S.: Po przesłuchaniu płyty nasuwała mi się myśl, że w niektórych piosenkach aż się prosi, żeby zaśpiewała kobieta. Czy były takie pomysły?

J.Y.I.: Nie było takiego pomysłu, żeby kobieta śpiewała, ale wystarczy głos dziewczyny w chórkach i że kobieta napisała niektóre teksty. To jest płyta przede wszystkim dla kobiet i dla tych, jak już wspomniałem, o których zapomniano. Młodzi ludzie tworzą nowe trendy w muzyce i to jest bardzo dobre i ważne dla rozwoju sztuki.

Tak ma być! Problem polega na tym, że zapomina się o tych, którzy wcześniej też byli młodymi. Cieszę się z tej płyty, bo piosenki bardzo się podobają, a szczególnie kobietom - młodym, dojrzałym i starszym. To jest płyta dla słuchaczy, którzy potrafią się zatrzymać w tym szalonym biegu, jaki serwuje nam dzisiejszy świat.

R.S.: Czy ta płyta jest protestem przeciwko polityce wielkich koncernów? Pokazaniem, że ludzie mimo wszystko chcą słuchać nor-

malnych polskich piosenek?

J.Y.I.: Jaki protest?! To jest po prostu płyta z polskimi piosenkami dla polskich słuchaczy, bo przecież wszyscy w Polsce mówimy i rozumiemy w naszym języku, a chłopcy śpiewają piosenki o miłości dla swoich dziewczyn. Albo o jej braku.

R.S.: „Dlaczego piętnaście piosenek o miłości? Dlaczego Gianni? Dlaczego The Goodboys?”

J.Y.I.: Dlaczego? Dlatego*.

R.S.: Dziękuję za rozmowę.

ROCK & ROLL
Big-beat
I COŚ DO TAŃCA



*tytuł jednej z piosenek *The Goodboys* [przyp. red.]





Gdzieś daleko stąd

słowa: Janusz Yanina Iwański

Nie z Tobą miałem tańczyć taniec miłości
Nie z Tobą miałem dzisiaj śpiewać o ptakach
Nie z Tobą miałem dzisiaj iść i po drodze
Wyznać Ci całą prawdę którą nosiłem

Nie z Tobą miałem iść przez życie chociaż los
Taką mnie obdarował drogą by z Tobą być
I dzielić życie tak jak z tą o której myślałem
Że dnia pewnego zjawi się i porwie mnie

Gdzieś daleko, (jesteś ty) daleko stąd, gdzieś daleko
Gdzieś daleko, (jesteś ty) daleko stąd

Gdzieś gdzie nie będę miał kłopotów ze swym ciałem
Gdzie to czego nie wiemy jasne staje się
Gdzie oczy nie spoglądają nigdy z pogardą
Gdzie nie potrzebny nam jest nawet gest

Gdzieś daleko...

Mogę cię kochać-nie mogę cię mieć

słowa: Małgorzata Lżyńska, Janusz Yanina Iwański

CODZIENNIE MIJAM KOBIET TŁUM
OCZU W NIM NIE MA TYLKO TWYCH
WSZYSTKIE PIĘKNE LECZ OBCE SĄ
W SUKIENKACH BEZ ZAPACHU ŁĄK

MADONNY Z GAZET WABIĄ MNIE
WIDZĘ ICH TWARZE SZUKAM TWEJ
JAK TU ZASNAĆ GDY TOPIE SIĘ
JESTEŚ JAK WINO W WENECKIM SZKLE

MOGĘ CIĘ KOCHAĆ / NIE MOGĘ CIĘ MIEĆ

MARZE BY ZERWAĆ CHOCIAŻ RAZ
CUDNY PAPROCI NOCY KWIAT
ŻYCIE CHYTRY KNUJE WCIĄŻ PLAN
DUSZA JEST Z TOBĄ JA WIECZNIE SAM

MOGĘ CIĘ KOCHAĆ / NIE MOGĘ CIĘ MIEĆ

GDY NADAM SERCU IMIĘ TWE
ZAPOMNĘ Z TOBĄ ROZSTAĆ SIĘ
WIEM NIE WSZYSTKO TAK PROSTE JEST
GDY ŚWIATŁA ULIC UDAJĄ DZIEŃ

MOGĘ CIĘ KOCHAĆ / NIE MOGĘ CIĘ MIEĆ

ROCK & ROLL

Big-beat

I COŚ

DO TAŃCA

Urok zakochania

słowa: Małgorzata Lżyńska

nasze spotkanie - krótkie zderzenie
przenikam ciebie - ty we mnie wnikasz
słowo za słowo - błogie zmęczenie
nasze spotkanie - krótkie zderzenie

urok zakochania
nieme wyznania
nieme wyznania
esencja kochania

twoje przybycie - desant uniesień
ciało przez ciebie, serce też pełne
miłość za życie - puste ramiona
twoje przybycie - desant uniesień

urok zakochania...

twoje odejście - prawie istnienie
siedzisz wciąż przy mnie - mówisz, dotykasz
melanż nastrojów - wyznań westchnienie
twoje odejście - prawie istnienie

urok zakochania...



Małgorzata „Fiona” Lżyńska literacko zadebiutowała w 2007 roku w dwumiesięczniku „Aleje3” wierszami „W studni”, „Grzesznicy” i „Poranne Marzenie”, które później w formie piosenki zostało zadedykowane Bogdanowi Łyszkiewiczowi, liderowi grupy Chłopcy z Placu Broni. Na kolażu urodzinowym z okazji otwarcia nowej siedziby Regionalnego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie, Konduktorowni, w 2007 roku wystawiona została ekspozycja wierszy Małgorzaty Lżyńskiej. Rok 2009 przyniósł debiut „muzyczny”. Na festiwalu Opole 2009 piosenkę z jej tekstem zaśpiewał Marek Jackowski, lider legendarnej grupy Maanam, z zespołem The Goodboys - nową formacją, którą powołał po zakończeniu współpracy z Korą. Jednocześnie Janusz Yanina Iwański wylansował w chicagowskim Wietrznym Radio piosenkę „Motyli noc”. W czerwcu 2010 r. ukazała się płyta The Goodboys Jackowskiego i Yaniny, na której odnaleźć można jeszcze inne piosenki z jej tekstami, takie jak „Kochaj mnie i daj mi siebie”, „Mogę cię kochać, nie mogę cię mieć” (tekst napisany wraz z Yaniną) i „Urok Zakochania”.

Niezależnie od poczynąń muzycznych teksty Lżyńskiej zainspirowały Tomasza Sętowskiego, wybitnego artystę malarza nurtu realizmu magicznego, do namalowania kilku prac, między innymi „Wirtuoza Sztuk Przepięknych”.

W lipcu bieżącego roku ukazał się debiutancki singiel Hani Stefaniak pt. „One Chance”, na którym znalazła się również piosenka ze słowami Fiony pod tytułem „Sprzedawca Marzeń”. Zimą natomiast ukaze się solowa płyta Andrzeja Grabowskiego, której singlem promującym będzie piosenka „Czasami”. Płyta jest owocem współpracy Grabowskiego z Janem Nowickim, Janem Wołkiem i Andrzejem Poniedziałkim. Warstwę muzyczną przygotował Krzysztof Niedźwiecki znany z formacji Habakuk, Ptaszyka, a obecnie lider bandu Wyłączeni.

W przygotowaniu jest też tomik poezji Małgorzaty Lżyńskiej. **RS**

* Teksty pochodzą z płyty zespołu The Goodboys - „The Goodboys”

Wioletta Grzegorzewska

Zapiski z wyspy - część III



2010-01-23

Mój /nie mój przewodnik emigranta:

Pisz jedynekę bez daszka w oficjalnych dokumentach.

Możesz używać gniazdka trzybolcowego jako dwubolcowe, wciskając koniec deserowej łyżeczki do górnej dziurki.

Nawet po siedmiu „sajderach” warto chodzić prawą stroną ulicy.

Zachodnie biurokratyczne systemy mogą cię skasować w każdej chwili, a payroll number wrzyna się w skórę jak twoja ciasna obrączka ślubna.

Z artykułów o polskich emigrantach dowiesz się, że pożeranie łabędzi jest karalne, a płyn do dezynfekcji rąk zawierający etanol nie nadaje się jednak do spożycia.

Wybierając emigrację, skazujesz się na życie w iluzorycznym państwie, między jednym a drugim światem, w którym nawroty wspomnień mają cię w nocy, a mit rodzinnego kraju rozrasta się jak teściowa.

Słowa i zwroty wkuwane w National Express w języku Ponglish nie wystraczą, aby funkcjonować w anglojęzycznych krajach

Anglicy raczej już wiedzą, co oznaczają przerywniki typu: kurwa mać, ja pierdołę, a twoje zwierzenia na "karbutach", w marketach i na przystankach mogą być słyszane przez innych ulepienionych z tego samego języka.

2010-01-18

Czekałam na spotkanie w Help Center 50 minut. Gdy rozbawiony ploteczkami urzędnik raczył wyjść ze swej tajemnej kanciapcy, moja zmęczona córka zwymiotowała mleczne śniadanie na jego buty.

2010-01-18

Mimikra

Jakże myślę się, wierząc ślepo w możliwości języka — pomyślałam niedawno. Stałam przy murku w moim ogrodzie. Na tle ściany ukazała się ciemnobrunatna ćma, która na ułamek sekundy odsłoniła przede mną tęczęwą podszewkę skrzydła.

2010-01-08

Wracałam razem z córką od znajomej o zmroku. Różowawe światła ulicznych lamp odbijały się w chodnikach pokrytych frinem. Córka mocno ścisnęła mnie za rękę, powtarzając - Trzymaj się mamusiu! Staralam się nie upaść, choć adidas nie słuchały mnie wcale. Omal nie zrobiłam szpagatu na skrzyżowaniu Nelson i Melville Street. - Zaraz będziemy w domu — uspokajałam ją. Czułam, że jest to jedna z tych magicznych chwil, gdy fragmenty świadomości, matki i dziecka, przenikają się.

2010-01-08

Zima na wyspie! Angolicy dawno takiej nie widzieli. Listonosz nie przyniósł cotygodniowego czeku. Wyłączyli prąd na naszej ulicy. Telefon stacjonarny też od dwóch tygodni nie działa. Oby błogi szum w słuchawce nie zmienił się nagle w głos mojego landlorda, któremu dawno powinnam wpłacić na konto ponad sześć stów. Zauważyłam, że sąsiedzi ukradkiem robią zapasy. Może też powinnam kupić jakieś konserwy? Sklepy już teraz świecą pustakami, ponieważ samochody dostawcze nie kursują. Co będzie za tydzień? Śniłam niedawno, że Cieśnina Solent zamarza, a ja biegłam po lodzie z czerwoną reklamówką do Portsmouth po zakupy. Dzisiaj nie mogłam kupić mleka, ale poratowali mnie znajomi, którzy mieszkają na peryferiach Ryde i znaleźli je w osiedlowym sklepiku u Lankijczyków. Na oblodzonej High Street staruszki w kolorowych gumiakach przepoczwarczają się w dzieci i rzucają się śnieżkami. Widząc, to, pomyślałam, że nasze, polskie emerytki rzucałyby raczej przekleństwami w takiej sytuacji. Dorośli odświeżają sobie pamięć i też rozrabiają na poboczach. Widziałam faceta, który jak odbarwiony żuczek gnojny toczył śniegową kulę wzdłuż Nelson Street. Wieczorem Mateusz wymodził sanki z plastikowej ogrodowej zjeżdżalni i razem z innymi autochtonami ślizgał w dół ulicy. W tym czasie, w ciemności, flagi Unii Europejskiej przy wejściu na molo zeszywniały od mrozu jak wykrochmalone spódnice mojej babki.

2010-01-05

Angielski urząd (Jobcentre Plus, EU Decisions & Appeals) uznał, że nie zdałam testu na rezydenta (habitually resident) i nie należy się żadna pomoc dla moich dzieci. Może tylko parę funtów na mleko. Widać urzędnicy pomyśleli, że moja nauka na kursach angielskiego organizowanych przez college w Newport i pisanie wierszy w domu to nie jest żadna praca i w ten sposób nie wspieram ekonomicznie Ich kraju. O, gdybym chociaż była wolontariuszką i przebierała ciuchy w lumpeksach, to może miałbym jakieś szanse, a tak jestem osobą zupełnie nieużyteczną, nikt nie odnotował w wielkich księgach, że uczyłam polskich zwrotów pewnego młodego Szkota, układałam faktury pochodzącemu ze Lwowa weteranowi wojennemu, dwa razy w tygodniu opiekowałam się dzieckiem sympatycznej Chinki, aby ona w tym czasie mogła wykładać mandaryński córkom angielskiej dymplomatki. Wieczorami przebieram swoje wiersze i myślę:

-I'm Nobody! Who are you? Are you – Nobody – too? Then there's a pair of us? Don't tell! they'd advertise – you know!*

*fragment wiersza Emily Dickinson [przyp.red.]

Ilustracja: Grzegorz Nita

Złodzieje na „Venus”

Janusz Mielczarek

tekst i fotografie

Drelichowo-waciakowa rzeczywistość wczesnego PRL-u nie dopuszczała do pokazywania w gazetach (televizji jeszcze nie było) kobiety inaczej, jak właśnie w kombinezonach, fartuchach roboczych i innych jedynie słusznych socjalistycznych odzieniach. Dlatego szpały wypełniały sylwetki przodujących - koniecznie - traktorzystek, dojarek, kombajnistek, milicjantek, włóknianek i przedstawicieli innych zawodów. Przy całym szacunku dla ciężkiej pracy zarówno tych, jak i wszystkich innych kobiet, wiadomo było, że chodzi o efekt propagandowy. Przez długie lata 50. Jedyłą „rozebraną” kobietą na fotografiach w ówczesnych gazetach była radziecka dyskobolka Nina Dumbadze. Mistrzyni była słusznej postury i miała czarne majtki na potężnej pupie, ale nie z racji erotyczności tej części stroju a tylko czarno białych fotografii. Górę okrywała biała koszulka, obowiązkowo z numerem startowym, odsłaniająca - o dziwo - fragmenty ramion i nieco pod szyją, nad słusznym, radzieckim biustem.

W latach 60. Zaczęły pojawiać się sporadycznie w prasie fotografie aktorek i innych panienek, ale głównie w kontekście obrzydliwości „zgniętego Zachodu”. W prezentacjach przewodziła katowicka „Panorama”, która dość długo była tygodnikiem ilustrowanym o największym, kilkusettyśmianym nakładzie w kraju. W Katowicach mogli sobie wówczas pozwalać na dużo więcej niż w jakimkolwiek innym regionie.

W siermiężnej rzeczywistości PRL-u zaskoczeniem był zatem pomysł prezesa Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego, Władysława Klimczaka, który w roku 1970 ogłosił konkurs fotograficzny aktu i portretu kobiecego „Venus 70”. Wystawa wzbudziła duże zainteresowanie fotografujących, a jeszcze większe publiczności, w tym licznego środowiska krakowskich dewotek. Skandale i szarpaniny przed fotografiami rozebranych dziewcząt powodowały, że do Pałacu Pugetów, gdzie była ekspozycja, ciągnęły pielgrzymki zainteresowanych z całej Polski.

Pięknie i mądrze o tamtych wystawach i czasach napisał znany literat Jerzy Pilch [„Akt 2”, W.Wantuch, Wyd. Bosz 2006] Uważał on, że dla jego pokolenia sławna w tamtym czasie krakowska wystawa może nie była tak ważna jak ogłoszenie stanu wojennego czy mecz na Wembley, ale była wydarzeniem doniosłym. Powszechnie wiadomo było, że wędrujące wówczas do Krakowa wycieczki coś tam pomijały, coś zaliczały „po łebkach”, żeby tylko zdążyć obejrzeć „Venus”. Nie działało się tak dlatego, że nagle wszyscy zapragnęli podziwiać dzieła sztuki fotograficznej, ale by przekonać się, że te gołe dziewczyny na fotografiach

są tam naprawdę, jest ich wiele i że dzieje się to w realnym PRL-u, gdzie jeszcze niedawno królowała wspomniana wcześniej Nina Dumbadze. Jerzy Pilch uważa, że była to lekcja wolności. Ze swej strony sądzę, że miał to być także - w interpretacji władzy, która na to zezwoliła - dobry zwiastun „epoki gierkowskiej”, która, nomen omen, skończyła się Sierpniem 80. Na wystawie wyłożona była księga pamiątkowa, której lektura - poza bardzo wieloma wpisami serio - obfitowała w twórczość bardziej plebejską. Od „Jedna baba drugiej babie... pokazała na wystawie”, poprzez „Niech nam żyją cipki gołe! Wiwat Lolek, wiwat Bolek!” aż po cytowane wielokrotnie „Zdjęcia nam się podobały, bo nam pały postawały”.

Wystawę „Venus '70” uważam za ważną w moim fotograficznym życiorysie z następujących powodów:

- wysłałem na nią dwie fotografie i obie zostały przyjęte na wystawę

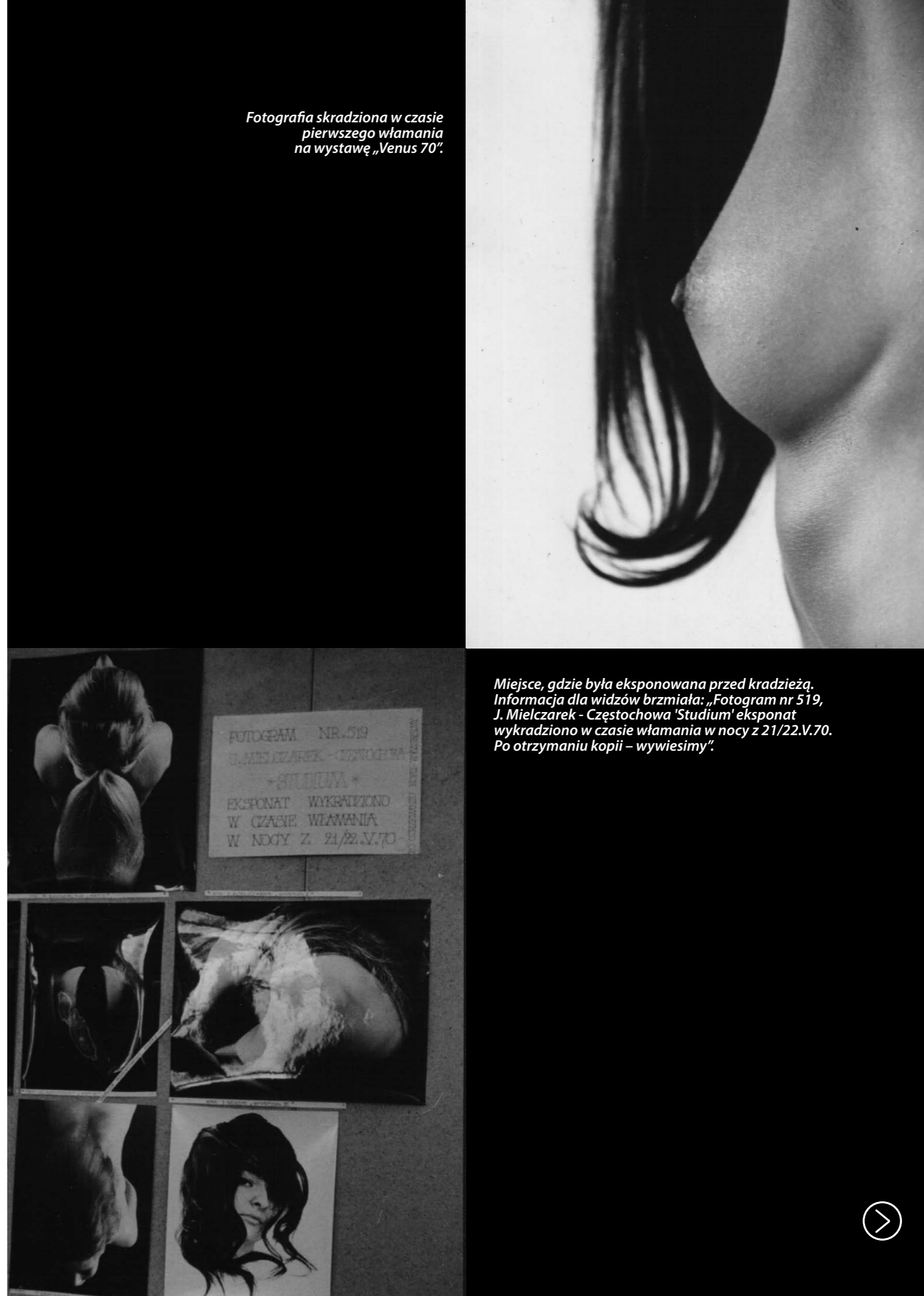
- były to pierwsze zdjęcia aktów, jakie zrobiłem

- jedno z moich zdjęć, wśród kilkunastu innych, zostało skradzione w czasie nocnego włamania na wystawę, o którym informowały nawet zagraniczne serwisy informacyjne.

Po obliczeniu strat okazało się, że złodzieje mieli niezły gust i fakt ten nobilitował autora w środowisku, a nawet był przedmiotem zazdrości. Włamania powtarzające się na „Venus” w latach następnych nie robiły już takiego wrażenia.

Fotografia skradziona w czasie pierwszego włamania na wystawę „Venus 70”.

Miejsce, gdzie była ekspozycja przed kradzieżą. Informacja dla widzów brzmiała: „Fotogram nr 519, J. Mielczarek - Częstochowa 'Studium' eksponat wykradzony w czasie włamania w nocy z 21/22.V.70. Po otrzymaniu kopii - wywiesimy”.



Janusz Mielczarek

Tyle czasu ile życia

Droga, jak droga, przepalona szaro-żółta cuma wiążąca twoje okręty: ten, który opuściłeś i drugi, gdzieś tam, na którym zamierzasz odpłynąć. Opadające słońce wczesnego popołudnia toczyło nadzieję na zbudzenie się choćby najmniejszego ruchu powietrza. Przysiadł nad rowem, przełamywał kawałki kukurydzianego chleba i żuł powoli. To, co pozostało, zapakował do chlebaka, płócienny kapelusz zsunął na tył głowy, żeby żar nie rozłupał mu czaszki, wcisnął twarz między łokcie i oparł je na kolanach.

Żółte auto nie zważając na czerwone światło, wyjąc klaksonami pędziło wprost na niego. Ocknął się.

- Trąbię i trąbię a ty śpisz - odezwał się stary człowiek na trójkołowcu przerobionym z motocykla. - Ktoś ty? - zapytał.

- A ty?

Stary ściągnął z głowy pokrytej siwą szczeciną staroświeckie okulary lotnicze i przecierał je rąbkiem przepoconej podkoszulki bez koloru.

- Piękne, miałem takie - pochwalił mężczyzna. Okulary miały spękane muszle oczne i łataną na różne sposoby gumę trzymającą je na głowie. - Takich teraz nie kupisz.

- Za skarby - potwierdził motorzysta, otarł głowę z kurzu i ponownie nasunął okulary. Gotowy do jazdy, zapytał: - Ty skąd? - uśmiechnął się, szukając określenia - no... no ty... Przydrożny.

- Stamtąd - pokazał przestrzeń za plecami Starego.

- Podwieźć?

- Nie trzeba - machnął ręką i ciszej dodał - mam tyle czasu ile życia.

- Czego?

- Wilka złego - roześmiał się.

Stary miał tylko jedną nogę. Z owiniętej ceratą deski, na której siedział, wyczuł butem korbę rozrusznika, podparł się na kierownicy i kopnął. Motor zaklekotał i zamilkł. Za drugim i trzecim razem tak samo. Przygarbił się, pomruczał pod nosem, nieruchomy wpatrywał się w przednie koło pojazdu i stukał palcami w zardzewiałą kierownicę.

- Popchnę - zaproponował Przydrożny.

- Fajnie.

Nie pomogło. Mężczyzna przyjrzał się silnikowi, poprzecierał oklejone kurzem i oliwą kable, oczyścił styki, poprawił mocowania. - Teraz pojedziesz.

- Szpenio jesteś - pochwalił Stary, gdy silnik zagdakał za pierwszym kopnięciem. - Siadaj - zaprosił. - Masz u mnie garo albo piwo. Sam wybierasz.

Droga była cumą rzuconą między nic rozpościerające się po lewej i prawej. Warczące zbyt głośno przez wypalony tłumik dziwadło posuwało się w tempie leniwego wierzchowca, znacząc ślad burym kurzem.

- Już niedaleko! - krzyknął Stary do ucha pasażera. Pojazd niespodziewanie skręcił i, slalomując między kępami suchego zielska, zjeżdżał coraz niżej. Zatrzymali się przed budą skleconą z desek, blachy falistej i trzciny. Obok stała łódź koloru kory migdałowca. Utopioną w piachu podpierały po bokach szerniałe belki. Nazywała się Arka.

Stary sięgnął do blaszanej pochwy po drewnianą kulę, wcisnął pod pachę obciążone ceratą podparcie i utykając pokotyłał do zacienionego wejścia. Przydrożny zdjął z kierownicy lotnicze okulary, naciągnął je na oczy i spojrzał ku niebu. Przez ich szkła przypominało brunatno-zieloną wodę w miejscach zacienionych przez korzenie drzew, gdzie nurkował polując na ryby.

- Gwiazd teraz nie zobaczysz - usłyszał za plecami głos Starego odpinającego paski połatanej czerwonej plandeki okrywającej skrzynie. - Pomożesz?

Z okularami na czole mężczyzna przenosił skrzynki i wstawiał je do okratowanego schowka na tyłach budy. Skrzynia była pusta, można było zaciągnąć brezent. Usiedli w wątlym cieniu trzcinyowego daszku na wkopanych w ziemię pniakach. Żyłasty facet w marynarskiej czapce dygocącymi rękami postawił przed nimi brytfankę su-

Pierwsza kradzież - niektórzy sugerowali, że za cichym przyzwoleniem prezesa - spowodowała niebywale zainteresowanie wystawą. W pustych miejscach, do czasu nadesłania przez autorów duplikatów, figurowały informacje o tytule i autorze skradzionej fotografii.

Wykorzystując zainteresowanie wystawą prezes Klimczak zorganizował w salach wystawowych sympozjum na temat aktu w fotografii artystycznej, na którą przybyły tuzy ówczesnego dziennikarstwa ze Stefanem Kozickim z „Kultury” i Danielem Passentem z „Polityki”, na czele. Niestety, kwiat dziennikarstwa od początku nie traktował spotkania serio, prześcigając się w kpinach i docinkach wobec organizatorów i autorów, jakby podlizując się swoim partyjnym zwierzchnikom, którym wystawa burzyła wyobrażenie o „socjalistycznej sztuce”. Jedynymi, których głosy zapamiętałem jako ciekawe i wnoszące coś do tematu byli: Juliusz Garstecki, wówczas prezes Stowarzyszeń Fotograficznych w Polsce i mało jeszcze znana Agnieszka Osiecka.

Kpiny i docinki powielone później w ważnych tytułach nie zaszkodziły wystawom „Venus” i zainteresowaniu fotografią aktu i portretu kobiecego. W następnych latach wystawa miała już charakter międzynarodowy.

Ponieważ tamte wystawy nie miały katalogów - poligrafia to był patent państwa i sprawa polityczna - prezes Klimczak postanowił wydać duży album grupujący fotografie z trzech pierwszych wystaw. Niestety, jego cena była bardzo wysoka - 2500 zł. (książka kosztowała wtedy 5 - 20 zł. A wydawnictwo albumowe 50 - 100 zł.). Zaproponowano subskrypcję, czyli wcześniejsze zapisy z częściową wpłatą. Bardzo chciałem mieć ten album ale nie zarobiłbym na niego w ciągu miesiąca mojej redakcyjnej pracy. Lukę tę częściowo wypełnili państwo Banachowie, małżeństwo krakowskich dziennikarzy, którzy bazując na materiale „Venus '70” wydali album „Polska Wenus”, w którym jest prezentowana tutaj fotografia.

P.S.: Jak bardzo emocjonalnie przeżywaliśmy fotografowanie po obu stronach obiektywu może świadczyć fakt, że koleżanka - modelka będąc w kinie z większym towarzystwem, kiedy na kadrach Polskiej Kroniki Filmowej relacjonujących wystawę „Venus '70” zobaczyła swoją fotografię krzyknęła na całe kino: „O, Boże, moje zdjęcie!”

Trzydziestokilkuletnia Agnieszka Osiecka ogląda fotografie w czasie krakowskiego sympozjum na wystawie „Venus 70”.



szonych rybek i piwo w metalowych kuflach. Zapachniało tłuszczem. Przydrożny jadł rybki powoli, przełamując każdą na pół. Wciąż pamiętał słowa ojca, który przeżył kiedyś tylko dlatego, że to świństwo, którego nie żarły nawet psy stójkowych, długo trzymał w ustach, panując nad wyrzyganiem go, a potem dopiero przełykał. Rybki chrzęściły w zębach.

- Nie jesz? - zapytał.

- Potem - pociągnął piwa, skrzywił się. - Kapitan mówił, że mógłbyś mu urąbać drzewa i zostać na noc. Zapłaci.

- Tu chyba tylko pan Bóg bywa, gdy się uharata do ostatniej kropli potu.

- On się boi tego miejsca. - Stary rozpląszczył dłonie na deskach stolika i przyglądał się pajęczynom brudu wżartego w spękaną skórę palców. - Ci, co tu przyjdą wieczorem, nie lubią obcych.

- Jego też?

- Obcy to obcy.

- A siebie nawzajem lubią?

- Nie, ale jakoś żyją, póki nadarzą się obcy - stary sięgnął po rybkę, wetknął ją ogonkiem do ust i dla zabawy tykał palcem w brązowy, srebrzący się pyszczek, jakby grał na wardze. - Opowiadają, że była tutaj kiedyś wielka woda, ci, co się z niej uratowali wierzą, że znowu przyjdzie nagle i nie wiadomo skąd, a wtedy może dla nich braknąć miejsca w Arce.

- Przecież to bajka.

- Coś musieli wymyślić - sięgnął po drugą rybkę. Spojrzał w prześwitujący trzciniowy daszek i dokończył: - Czysty jest tylko lot ptaka.

Z wnętrza zacienionego pomieszczenia przyglądała im się odwrócona profilem kobieta.

- Elo, chodź do nas - zaprosił Stary.

Uśmiechnęła się ciemnymi oczami, otworzyła bezgłośnie usta, obciągnęła sukienkę na biodrach i zniknęła w cieniu.

- Podobno to córka Kapitana - kręcił kuflem, jakby przez to piwo nabrało lepszego smaku. - Po równo: piękna i biedna.

- Dlaczego?

- Nie mówi. Słyszysz, ale nie mówi. Resztę zobaczysz, jak zostaniesz - gwałtownie wlał w siebie piwo. - Taki to, kurwa, zasrany żywot wszelki - spojrzął na kikut lewej nogi poklepał go. - Gdzieś ty, że łupiesz w kostce, której nie ma?

Podniósł głowę znowu wystrojoną w okulary i gapił się w rozżarzone powietrze. Wstał, sięgnął po kule, starannie wyważył swój środek ciężkości i stojąc na jednej nodze, nie podpierając się, gwizdnął przeciągle, jakby dawał znak orkiestrze. Powoli, rytmicznie unosił głowę, okręcał się, gwałtownie wylał w siebie piwo. - Taki to, kurwa, zasrany żywot wszelki - spojrzął na kikut lewej nogi poklepał go. - Gdzieś ty, że łupiesz w kostce, której nie ma?

- Dobry majster cię sklejał - pomyślał mężczyzna. - Ale zatracił się w tej robocie i za późno się połapał.

Elo przyniosła Staremu wodę w bańce. Wypił kilka łyków a resztę wylał na głowę i plecy.

- Przed czym uciekasz? - zapytał, gdy się uspokoił. - Pieniądze, kobieta, śmierć? - Pochylił się ku twarzy człowieka z kilkuniedniowym zarostem. - Stąd nie wysła się pocztówek z zakłębieniem „pamiętaj, czekaj, wróć” - stukając widelcem o krawędź brytfanki, wyliczał: - Kobieta... pieniądze... śmierć...

Pogodzony z milczeniem sąsiada odwiódł okulary z czoła, ku brwiom potoczyły się tłuste strugi brudu i potu.

- Wiem dlaczego - uśmiechnęła się szeroko pokazując słupkowate, niekompletne uzębienie. - Masz dwie całe nogi. Aż dwie...

Droga, jak droga - pomyślał mężczyzna - choć wydaje się nie mieć końca, to jednak, co do tego, nie ma pewności. - Ty, Przydrożny, posłuchaj chwilę - powiedział poważnie, pochylony nad stołem. - Zaczęłam budować większy - pokazał w stronę trójkołowca - będzie mocniejszy. Znasz się na tym, zrobimy z niego raketę. Ty będziesz jeździł na jednym, ja na drugim. Zarobimy kawałek grosza. Będzie na to i owo, a nawet na tamto i owamto - skupiony czekał odpowiedzi. - No, to jak?

- Przegadam to ze sobą.

- Myślisz, że się jeszcze spotkamy? - stary wysypał suszone rybki na gazetę, zwinął papier i wetknął paczkę do wojskowego chlebaka sąsiada.

- Na pewno, jak dzisiaj.

Jednonogi spokojnie sadowił się na zakurzonej maszynie. Gotowy, przekrzykując klekotanie motoru zawo-



rys. Arkadiusz Zajac

łał: - Pamiętaj, że ci, co tu dzisiaj przyjdą, nie lubią obcych. - Naciągnął okulary, uniósł rękę na pożegnanie i przyczajony nad kierownicą, kurzem między zeszlými kępami zielska znaczył ślad odjazdu.

Kapitan pokazał stertę pniaków do porąbania. Dał miskę gęstej zupy z ciemnymi kluskami, kromkę chleba i bańkę wody z trzciniowym sokiem. Posilił się i zaczął ostrzyć siekiere. Kobieta przeszła obok. Zniżające się słońce obiecywało daleki jeszcze, ale już wyczuwalny tlen przedwieczoru.

Przy pierwszym zmęczeniu usłyszał zbliżające się z daleka głosy mężczyzn idących ku Arce.

- Znałeś wcześniej Glida? - zapytał Kapitan układając naręczce drewno.

- Kto to?

- Ten, który cię tu przywiózł. Podobno Elo jest jego córką.

- Po co mi to wiedzieć?

- Zwyczajnie, na zapamiętanie - rzucił odchodząc.

Ocierał się z potu, gdy Elo przysłała po drewno. Przyklękła, pochyliła się i spod bluzki wyrwały jej się gołębnie piersi. Spokojnie układała drewna w płytkim koszyku. Gdy był pełen, sięgnęła po kawałek ze świeżo rozłupanego pniaka, wodziła po nim palcami, wsunęła go na dłużej między nagie piersi i podała mężczyźnie.

Zmierzchało, głosy po drugiej stronie budy w nieskładnym śpiewie skarżyły się na niekochające kobiety. Na skatowanej suchotą ziemi wieczór naklejał ciemne łaty tajemnic. Zmęczony oparł się na stylisku siekiery. Niespodziewanie pojawił się przy nim młody człowiek w fioletowej czapce z metalowym emblematem i uciętym piórem kruka.

- Gdzie masz rower? - zapytał.

- Nie mam.

- A co masz?

- Nic.

- Nie można mieć nic.

- Tak wyszło.

- Słabo ci idzie - pokazał na urąbane drewno - może siekiera tępa? - zaśmiał się głośno i odchodząc dodał. - Wystarczy.

Usiadł przy szopie łatanej kawałkami blachy i płyt ze starych reklam, sięgnął po jedzenie. Na niebie umierała ostatnia, niepotrzebna smuga światła. Do łodzi podeszły dwa cienie i wspięły się po drabinie. Kontur kobiety zastygł na chwilę wahając się przed pograżeniem się wewnątrz. Śpiew stawał się coraz głośniejszy, marszowy. Wkrótce tupano już do rytmu i walono pięściami. Zasłonił się tekturą i zasnął.

Zbudziło go szarpnięcie. Odruchowo zacisnął palce na rękojeści przytroczonej do przegubu dłoni. Nad nim stał Kapitan. Było cicho.

- Poszli, możesz iść spać do łodzi - powiedział prawie szeptem, choć nikogo nie było w pobliżu.

Usiadł na burcie. Od daszku osłaniającego prymitywną kabinę

z oberwanym sterem śmierdziało smołą. Usłyszał, a może mu się wydawało, ciche popiskiwanie jakiegoś zwierzaka. - Mam wejść w ten śmierdzący i sprostytuowany barłóg Elo? - zapytał sam siebie. - Nim zasnę pewno się zonanizuję.

Nie dokończył, bo uderzony snem zsunął się do środka. Spod dachu szopy wyfrunęła sowa i zaatakowała to coś kwilące przy łodzi.

Znowu pojawiło się żółte auto. Nie trąbiło, może nawet stało w miejscu, ale rosło, ogromniało. Jego głowę ugniatała blacha zderzaka, który rozrósł się do grubości kanalizacyjnej dreny. Charczało w nim, jakby koła auta odzierały kogoś ze skóry.

Na tle nieba rozpoznał jej głowę z pokręconymi włosami, ale głos go przeraził. Słyszał go po raz pierwszy. Szarpała mu koszulę, pokazywała dłońią na szyję, celowała w pierś.

- Tgyyy... nic... ne ma... - wykrztuszyła z największym trudem. - Tgyyy... naaa... na... - pokazywała w przestrzeń. Płakała prawie szarpiąc go za włosy.

Wyskoczyli z łodzi. Pokazała mu, że ma się pochylić i biec za nią. Po kilometrze, może dwóch przystanęli, żeby odpocząć. Do miejsca, z którego zbiegli, zbliżał się korowód świetlistych plam. Rozbiegały się, skupiały, zataczały kręgi, aż za jakiś czas zwały się w jedną rosnącą powoli, powoli, żeby nagle wybuchnąć łuną. Oparła rękę na jego ramieniu. Pocałował ją w policzek. Zmroziło go dobywające się z jej gardła charczenie. Wskazała, gdzie dalej mają iść. Zmęczeni drogą dojrżeli pośród pustkowia cienie drzew. Podeszli bliżej. Między drzewami były gruzy po jakiejś budowli a przy nich rozsypujące się resztki czegoś, co mogło być kiedyś wieżą albo dzwonnica. Nie sięgał tu widok ognia.

W milczeniu przyglądał się jej ciemnym konturom. "Powie ci najważniejsze - prosił w myślach. - Tylko nie uwalniaj swojego potwora, proszę." Powiodła jego ręką po swojej ociekającej potem twarzy. Usiadła w wylomie muru. Mężczyzna drugą dłońią przetarł swoją twarz. Wchłaniał na przemian ich zapachy. Nauczył się rozróżniać te szczególne ślady zostawiane przez ludzką fizyczność. Kiedyś sądził, że jest ich kilka, dzisiaj wie, że są tak różne, jak głowy, oczy, nosy czy zęby różnych ludzi. W sąsiedztwie jednych wytrzymał, bliskość innych była katogą. Jeden z tych śmierdzieli, gdy dowiedział się o najgorszym, nagle stał się bezzapachowy. Jej i jego pot pachniały identycznie, jakby były wydzieliną gruczołów tej samej osoby. W ciemności dotknął jej ramion i szyi, palcami odgadywał oczy, usta i całą rzeźbę Elo.

Łasiła się do jego dłoni, kasała je ledwo wyczuwalnie. Może próbowała ściągnąć z nich skórę i przenieść na siebie? Niespokojnie gładził jej ramiona, głowę i szyję. Właśnie na szyi zacisnęła nagle jego ręce. Wyczuwał ślinę przepływającą przez jej gardło. Uścisk potęgował się. Łapała powietrze astmatycznie rozwartymi ustami. Przeraził się, że jej ręce zaciska na gardle energia czekająca od dawna pośród ruin na ofiarę. Jak wszystko tutaj. I teraz oto on, jak to on, nie myślał nigdy wcześniej, że będzie lękał się o kogoś strachem pogardzanego karła.

Ale zacisk jej dłoni zelżał, zmienił się w lekki, suwany do przodu i ku karkowi dotyk pieśczoły. Odpowiedział tym samym. Przyciągnęła jego głowę, całowała czoło, usta, policzki. W rzednącej farbie nocy słyszał jej oddech i czuł zapach skóry podobny temu rozchodzącemu się od kawałków drewna o różowych słojach, które leżały w stercie rozłupywanych dla Kapitana.

Odepchnęła go, zamknęła oczy i zwilżyła wargi. Kilkakrotnie głośno wciągnęła powietrze, jakby przygotowywała się do znurkowania na dużą głębokość. Znieruchomiała i z ledwie rozchylnych ust wydobył się cichy, śpiewny głos. Zastygła nie dowierając. Uderzała pięściami po głowie i policzkach. Po chwili uspokojona, znowu przygotowała się do znurkowania. Teraz głos z jej gardła był taki sam. Wybuchła. Szarpała ręce mężczyzny i gwałtownie nacierała nimi twarz, ramiona, piersi. Zatańczyła, a potem biegnąc poprowadziła go między ruiną, jakby chciała zbudzić ją do życia.

Zmęczona i spokojna przylgnęła do mężczyzny. Objął ją, wsunął palce we włosy. - Piękna jesteś - powiedział cicho, jakby tylko ona miała to słyszeć. - Mam znowu tyle czasu ile życia. Zabierz z niego swoją część. Jesteś nadzwyczajna.

Na znak milczenia zakryła mu dłońią usta, uniosła twarz ku niebu zrzucającemu ostatnie szmaty nocnych zasłon i dobyteła z siebie czysty głos na kilku nutach. Wokalizę stworzoną przez najprostsze, przypisane nam w chwili zachłyśnięcia się pierwszym oddechem dobro i czułość.

Końcem języka dotykał słonej skóry jej dłoni. Nad ramieniem Elo wypływał nad horyzont majestat wielkiej, złociej ryby.

Miejsca, ludzie, wydarzenia - pamięć o Armii Krajowej na Ziemi Częstochowskiej

W związku z ogłoszeniem przez Ministerstwo Edukacji Narodowej roku szkolnego 2009/2010 Rokiem Historii Najnowszej, Wydział Edukacji i Sportu, Wydział Kultury i Promocji Urzędu Miasta Częstochowy wraz z Samorządowym Ośrodkiem Doskonalenia i Muzeum Częstochowskim, zaprosił młodzież do udziału w projekcie edukacyjnym pod hasłem „Miejsca, ludzie, wydarzenia... Pamięć o Armii Krajowej na Ziemi Częstochowskiej”.

Poniżej publikujemy prace nagrodzone w zorganizowanym w ramach projektu konkursie pierwszymi miejscami w kategoriach: praca literacka i plakat.

Opowieść o Pradziadku - I nagroda w kategorii praca literacka

Justyna Majewska

Szkoła Podstawowa nr 31 z Oddziałami Integracyjnymi w Częstochowie

Moja babcia, Alicja Brzozowska, z domu Piech, właściwie nie znała swojego taty. Zginął 23 lipca 1944. Nim zmarł, leżał z przestrzeloną na wylot głową w partyzanckim szpitaliku gdzieś na kieleckiej wsi.

Pradziadek Kazimierz Piech był przystojnym mężczyzną o ciemnych włosach, czarnych oczach i pościągłej twarzy. Nigdy się nie zestarzał. Urodził się w Kocinie Nowym, ale „za pracą” poszedł do miasta – do Częstochowy. W czasie okupacji pracował „na hucie”, mieszkał na Błesznie. Kochał swoją żonę Cecylię i dzieci: Ryśka (Ryszard Piech), Hanię (Anna Kokocińska z domu Piech) i najmłodszą – Laleczkę (to moja Babcia!). Uczył się w „podchorążówce” Eugeniusza Żychlińskiego. Pan Żychliński został chrzestnym ojcem Laluni (mojej Babci). Pradziadek zapisywał w zeszycie w kratkę najpiękniejsze polskie wiersze, dedykując je żonie i dzieciom.

Część dokumentów AK przechowywana była w kuchni prababci Celinki, ukryta w mosiężnych rurkach przy piecu z fajerkami. Prababcia bała się, że kiedyś do domu może przyjść Gestapo. Rodzina miała opracowany cały system bezpieczeństwa. Gdy obawiano się „kotła”, dzieci natychmiast trafiały do różnych rodzin. Potem wracały. Kiedyś jednak się nie udało. Pradziadek był w domu. Hania (moja Ciocia-Babcia) jeździła na rowerku po ulicze. Od podwórza, przy którym mieszkali, oddzielał ją płot. Nie zdążyła ostrzec swego taty, gdy nagle zjawili się Niemcy. Zza szopy obserwowała, jak brutalnie wywlekli jej tatę oraz wujka z domu, zapakowali do samochodu i wywieźli.

Pradziadek trafił do aresztu Gestapo. Na szczęście znalazł się tam ktoś, kogo zdołano przekupić i pradziadek został wypuszczony. Nie mógł jednak pozostać dłużej w Częstochowie. Uciekł „do lasu”. Trafił do batalionu „Ponurego”. Prababcia Celinka – pseudonim „Olga” - była podobno wówczas łączniczką AK. Ciocia Hania (Anna Kokocińska, z domu Piech) wspomina, jak kiedyś szła ze swą mamą (moją prababcią Celinką) z Błeszna na ulicę Warszawską niosąc w kieszeni fartuszek jakieś papiery. Pod żadnym pozorem nie wolno jej było wkładać rączek do fartuszka...

Było lato. Laleczka miała nie więcej niż dwa lata. Hania przystąpiła do Pierwszej Komunii Świętej. Prababcia Celinka była wówczas młodsza niż moja Mama dzisiaj. Prababcia z Hanią i Ryśkiem oraz swoim bratem Gienkiem pojechała do leśniczówki pana Ciesielskiego w okolicach Oleszna. Chciała spotkać się z mężem. Mieli wspólnie cieszyć się z Pierwszej Komunii starszej córki. Hania siedziała na skarpie w lesie. Przyszedł żołnierz AK, powiedział Hani, że jej tatuś jest ranny. Dzieci pod opieką wujka wróciły do Częstochowy. Prababcia poszła do męża.

Poświt nie chciał umrzeć. Leżał przez kilka dni z obandażowaną głową. Kula trafiła w czoło i przeleciała przez czaszkę na wylot. Opiekowali się nim ludzie ze wsi w okolicach Oleszna. Nie wiadomo, jak długo tak żył. Podobno trzy dni. Ranny 23 lipca 1944 roku – kościelny akt zgonu wystawiono z datą 30 lipca tegoż roku. W tej historii informacje nie zawsze są spójne.

Ciocia Hania opowiada, jak doszło do śmiertelnego zranienia Pradziadka. Niemcy pociągiem mieli udać się na wypoczynek do jakiegoś kurortu. Polacy rozbili ten pociąg, za co w odwecie oddziały SS miały spacyfikować jakąś wieś. Podobno spalili ją całą. Zebrali w stodole wszystkich mieszkańców, nawet kobiety i dzieci, oblali benzyną i podpalili. Ocalał tylko jeden mężczyzna, który ukrył się w chlebowym piecu...

Później Niemcy mieli spacyfikować Oleszno. Partyzanci zaczęli się na ten oddział, rozbili go i ocalili miejscowość i jej mieszkańców. W czasie walki został postrzelony Pradziadek.

Nieco inaczej przedstawia się ta historia, gdy sięgnąć do źródeł pisanych. Wojciech Borzobohaty, pseudonim „Bojan”, w „Jodle” pisze między innymi o batalionie „Tygrys”, w skład którego wchodził oddział porucznika Mieczysława Tarchalskiego, pseudonim „Marcin”. Przeanalizowałam suche informacje:

„14 czerwca 1944 r. oddział pod dowództwem por. „Marcina” (Mieczysław Tarchalski) zaatakował stację kolejową Ludynia. Spalono cały pociąg, 2 samochody i skład gotowych elementów baraków. Zniszczono urządzenie i akta stacyjne. Wzięto do niewoli 4 Niemców, zdobyto 4 kb, amunicję, granaty, oporządzenie i benzynę.”^{III}

W tej akcji – jak sądzę – brał udział mój Pradziadek.

„20 czerwca 1944 r. oddział pod dowództwem por. „Marcina” wysadził transport samochodów SS i Wehrmachtu pod Żeliszawicami. Zniszczono tor na przestrzeni 80 m, wybuch miny przewrócił parowóz na torowisko. Samochody spalono. Straty nieprzyjaciela wyniosły 9 zabitych.”^{III}

I tu – jak przypuszczam – działał z przyjacielami Kazimierz Piech.

„22 lipca 1944 r. oddział pod dowództwem por. „Marcina” przygotował pod Zabrodami zasadzkę na jednostkę SS. Niemcy zostali rozbici i rozproszeni. Zdobyto 6 kb i 3 wozy z amunicją i oporządzeniem.”^{IV}

Z dużym prawdopodobieństwem mogę przypuszczać, że do sukcesu przyczynił się także „Poświt”.

23 lipca 1944 r. oddział por. „Marcina” stoczył bitwę z odsieczą idącą na pomoc niedobitkom spod Zabrod. Nieprzyjaciel stracił 21 zabitych. Zdobyto 2 rkm, 12 kb, 2 pistolety i amunicję. Straty własne – 3 poległych: pchor. „Poświt” (Kazimierz Piech), „Sroka” (Czesław Kowalczyk) i strz. „Iskierka” (NN).^V

Tu, niestety, nie mogę mieć wątpliwości. W tej bitwie brał udział i został śmiertelnie ranny mój Pradziadek. Miał wówczas trzydzieści trzy lata. Był młodszy niż dziś mój Tata.

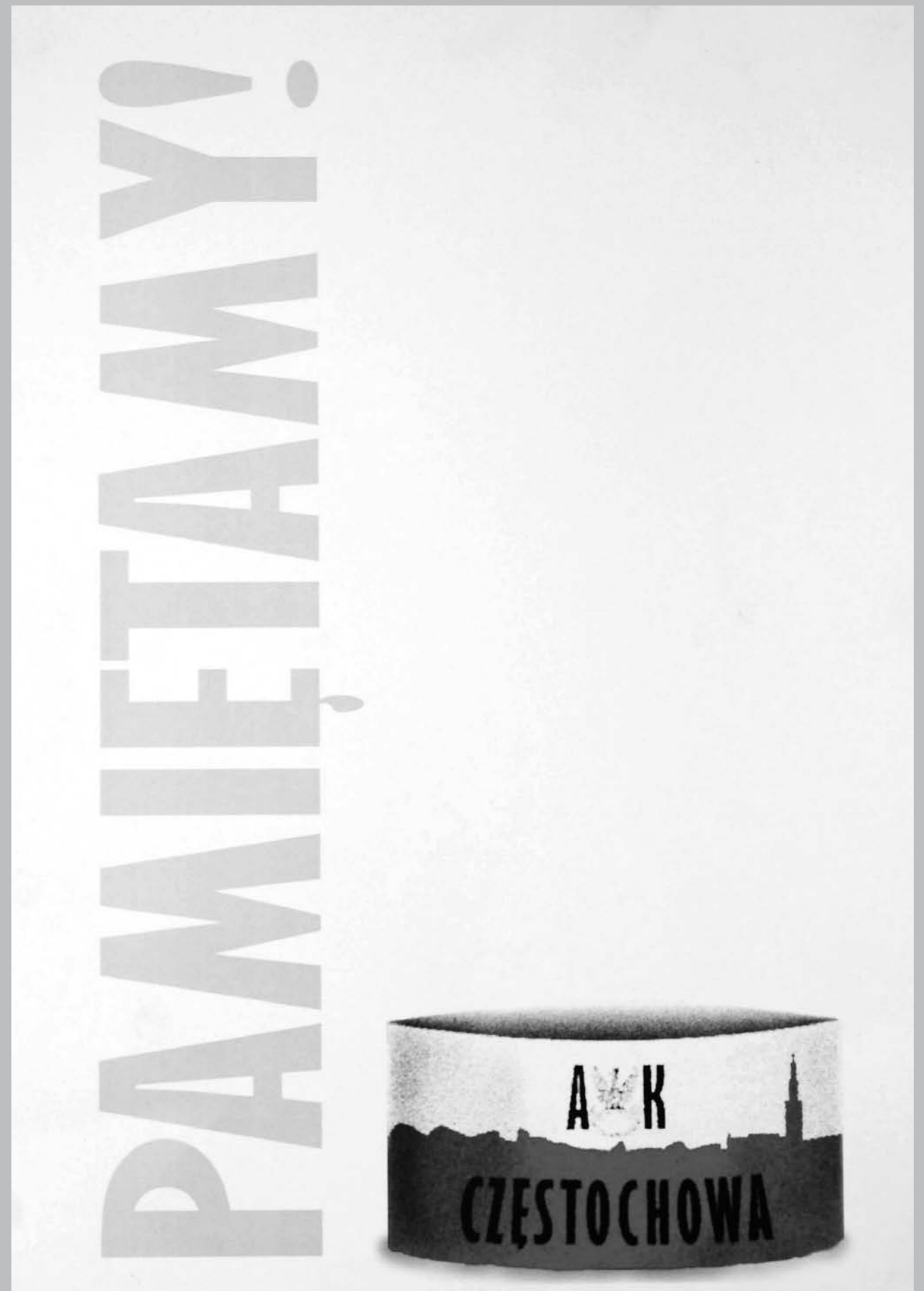
Ta sama informacja z datą 23 lipca 1944 roku została powtórzona na stronie 316, jednak tu „Bojan” Borzobohaty dodał nazwę miejscowości, pod którą miała miejsce bitwa: Oleszno.

Babcia Ala i Dziadek Janusz Brzozowski przechowują w swoim domu nie tylko zapisane przez Pradziadka wiersze, jego zdjęcie w mundurze z wojny we wrześniu 1939 roku, zdjęcie młodej Prabadki Celinki nad trumną męża, gdzie towarzyszą jej dzieci Hania i Rysiek (Laleczka - Babcia Ala pozostała w domu, bo zachorowała na odrę). W szarej kopercie przechowali artykuł z gazety, wydanej 44 lata temu! W „Gazecie Częstochowskiej” z lipca-sierpnia 1966 roku opublikowano fragmenty pamiętnika Zbignie-

wa Molińskiego, pseudonim „Ści-gacz”, zatytułowane „Z partyzanc-kich wspomnień”.

Zbigniew Moliński walczył w oddziale „Brzęka”, stanowiącego część zgrupowania „Marcina”. Opisuje on wydarzenia z lipca 1944 roku, w którym znaczącą rolę odegrał mój Pradziadek. Akcja rozgrywa się w powiecie włoszczowskim, w okolicach wsi Stojeństwo, Dąbrowa (Dąbrówka?), Oleszno, Chotowa. Esesmani w ramach akcji odwetowej mieli spalić wieś Dąbrowa lub Dąbrówka. Partyzanci chcieli zorganizować na nich zasadzkę. Partyzanci czekali na Niemców w pobliżu stawu, przy młynie. Czas im się bardzo dłużył, upał doskwierał. Ktoś rzucił hasło: „Kto ma ochotę, niech skacze do wody”^{VI}. Niemal wszyscy rzucili się do stawu. Tylko podchorąży „Poświt” i kapral „Stańczyk” pozostali, by obserwować teren. Ukryci za niedużym krzakiem obserwowali drogę, spodziewając się przejazdu Niemców. Zaaferowani kąpielą partyzanci nie zwrócili uwagi na znaki dawane przez „Poświta” – nikt nie wiedział, że zbliżają się już faszyci! Wówczas Pradziadek „znany ze swej bojowości” bez rozkazu zaczął strzelać do konwoju. Dowódca niemiecki siedział na pierwszej furmance. Zeskoczył z wozu i zawołał: „Achtung, banditen! Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale druga seria zwała go na ziemię.” Z pomocą oddziałowi przybył wkrótce pluton „Kmicica”. Wspólnie partyzanci zabili 40 esesmanów a „chłopi z Chotowa i Dąbrówki serdecznie dziękowali za obronę”.

Pradziadek Kazimierz Piech jest już postacią z rodzinnej legendy. Ma wciąż 33 lata. Pochowany był trzy razy. Pierwszy raz w lesie. Drugi raz, gdy Niemcy uciekali z Polski i szukali ciał zmarłych, by zabrać im cywilne ubrania. Po raz trzeci, gdy po oficjalnej ekshumacji przeniesiono jego ciało do grobu w Olesznie na kwaterze przeznaczonej dla



żołnierzy AK. Ciocia Hania była wówczas dziewczynką w moim wieku. Miała może 12 lat. Pamięta, że jej tata wciąż miał na czole zupełnie białą bandaż, a twarz właściwie nie zmienioną, tylko że brązową. Piaszczyste lasy oszczędziły ciało...

Grobów na kwaterze AK było około piętnastu. Chowano w nich partyzantów, których ciała odnaleziono w różnych grobach. Krzyże wykonano z drzewa brzoźowego. Najmłodszy z pochowanych AK-owców miał 15 lat, najstarszy 33 – mój Pradziadek.

Gdy chowano partyzanta, za jego grobem stawała miejscowa rodzina z Oleszna i mówiła do rodziny zabitego: „Zapraszamy Was raz na zawsze w gościnę”. Do znaczyło bardzo wiele. Pradziadka chowano na cmentarzu w Boże Ciało w 1945 roku. Za jego grobem stanęła rodzina Państwa Kozerów. Co to znaczyło? Zaczniemy od tego, że nie było wówczas dobrej komunikacji, PKS-ów, telefonów, światła przy drogach. Prababcia z dziećmi (i wciąż małą Laleczką) dojeżdżała do Ludynia lub Włoszczowej kolejną i szła pieszo przez bezdroża i błotniste drogi, przez szczerze pole 7 – 12 kilometrów (w zależności, dokąd dojechała). Taka była droga do Oleszna i do cmentarza. Rodzina przyjeżdżała tu często w listopadzie, przed świętem Wszystkich Zmarłych. Padał deszcz, panna ziąb i szybko zapadała ciemność. Gdy Prababcia dochodziła do pierwszej chaty oświetlonej wewnątrz naftową lampą (wieś nie była jeszcze zelektryfikowana), pukająca i pytała, czy to na pewno Oleszno. Bała się, że mogła zablądzić. Wiedziała jednak, że w Olesznie wszyscy mogą się przespaciać, umyć, ogrzać przy piecu z polepą i najeść właśnie u Państwa Kozerów. Wujek Rysiek zaprzyjaźnił się z ich synem. Przyjaźnili się aż do śmierci wujka w latach osiemdziesiątych.

Grobów było piętnaście - a może więcej. Czasem ktoś prznosił ciało zmarłego partyzanta w rodzinne strony, by je tam po raz kolejny pochować. Tak podobno, jak mówi ciocia Hania, przeniósł ciało syna pan Kiepusa z Częstochowy. Chciał, by grób był bliżej, by rodzinie było łatwiej odwiedzić zmarłego.

O groby dbali mieszkańcy Oleszna i okolic, a także harcerze. Wyglądały one jednak ubogo i skromnie. Pokazano je kiedyś w telewizji „Polonia”. Być może zobaczył je wówczas „Bojan” Borzobohaty, który przebywał na emigracji w Wielkiej Brytanii. To on przysłał pieniądze na piękny obelisk upamiętniający bohaterów AK. Przyjechał z Anglii w październiku na uroczystość poświęcenia obelisku. Wrócił na Wyspy i zmarł po trzech miesiącach, w grudniu. Wkrótce zmieniono mogiły AK-owców na granitowe.

Ciocia Hania spotkała kiedyś, kilka lat temu, przy grobie swego taty starszego pana. Powiedział, że tu leży pochowany jego ojciec. Ciocia onie miała. Dopiero opowieść pana Stefana Zenglera rozwiła jej zdumienie. Pan Zengler miał 18 lat, gdy został partyzantem. Jako opiekuna przydzielono mu mojego Pradziadka. Ciocia kiedyś opowiadała, że Pradziadek uratował chłopcu życie: zepchnął go z linii niemieckiego strzału, przyjmując kulę na siebie. Dlatego pan Zengler mówił o pradziadku jak o swoim ojcu. Gdy chciałam, by ciocia powtórzyła tę opowieść, bym mogła zapisać ją w swojej pracy, ciocia bardzo się zdziwiła: „Nie... coś pomieszałaś... To Stefan zabił granatem Niemca, który strzelił do mojego taty. A może nie Stefan, tylko wujek Heniek Merdzik – bo on też był w AK, choć nigdzie nie jest to napisane...”

Od roku 1944 dzieli nas 66 lat. Świadczenie wydarzeń z kieleckich lasów albo już nie żyją, albo zawodzi ich pamięć. Dla mnie jednak zawsze Pradziadek Kazimierz Piech, tata Babci Ali będzie bohaterem. Zawsze bę-

dzie miał 33 lata. To, że zginął i osierocił troje dzieci na zawsze odmieniło losy mojej rodziny. Jaka byłaby Babcia Ala, gdyby wychowywała się pod opieką i matki i ojca? Co by się działo, gdyby Pradziadek przeżył wojnę? Po wyzwoleniu Częstochowy po Pradziadka przyszli Rosjanie. Co wówczas by się działo? Czy byłby wywieziony do Rosji tak jak Eugeniusz Żychliński?

Rodzinne historie – szczególnie te bohaterskie - są trudne i bolesne. Nie jest łatwo być bohaterem. Jeszcze trudniej jest być najbliższą rodziną bohatera.

BIBLIOGRAFIA:

Wojciech Borzobohaty, „Jodła”. Okręg radomsko-kielecki ZWZ-AK 1939-1945, wyd. 2 poprawione i rozszerzone, Warszawa 1988.

Zbigniew Moliński „Ścigacz”, Z partyzanckich wspomnień, w: „Gazeta Częstochowska”, lipiec- sierpień 1966 r.

^I W. Borzobohaty, Jodła... s. 265.

^{II} Jak wyżej.

^{III} Jak wyżej.

^{IV} Jak wyżej.

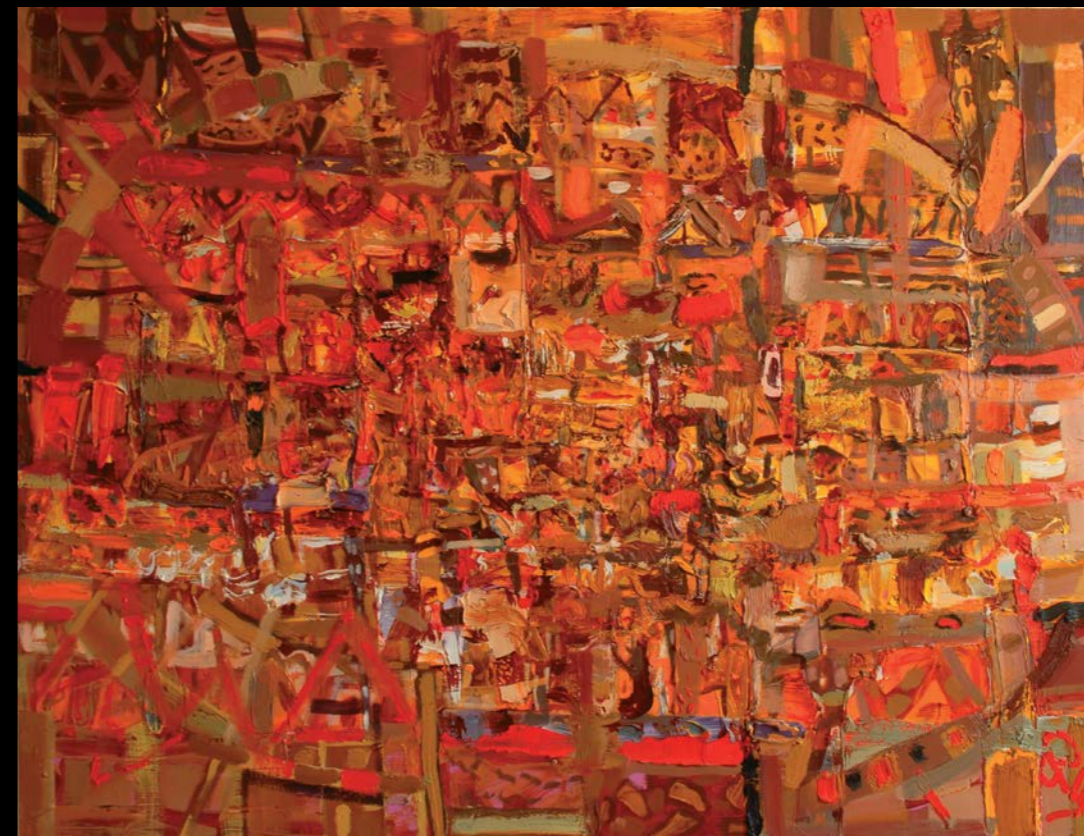
^V Jak wyżej.

^{VI} Cytaty związane z opisywanym wydarzeniem pochodzą z artykułu Z. Molińskiego.

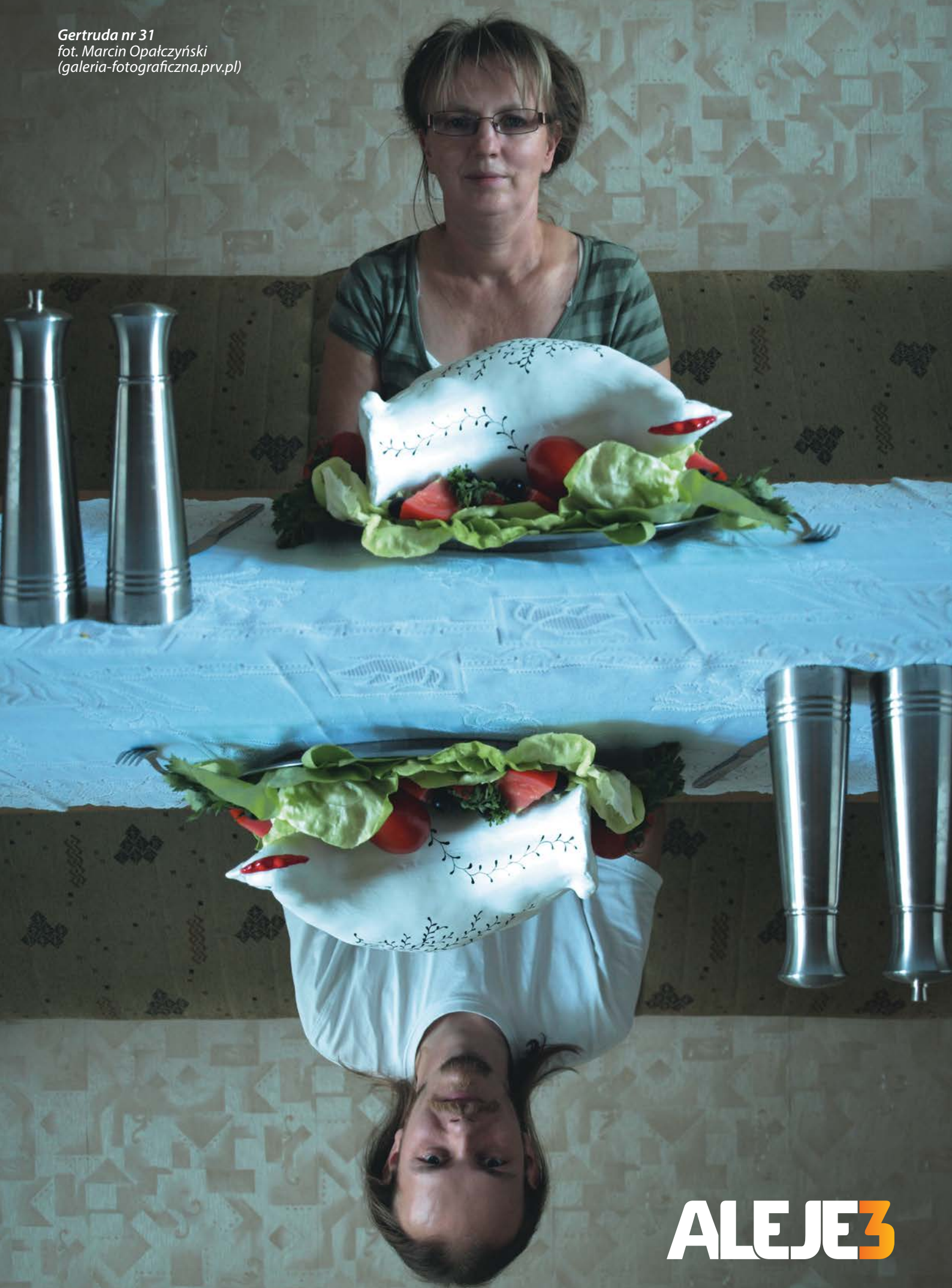


Ryszard Mamiś
„Podwójne szepty”
olej, płótno

Ryszard Mamiś
„Heaven Knows”
olej, płótno



Gertruda nr 31
fot. Marcin Opalczyński
(galeria-fotograficzna.prv.pl)



ALEJE3